

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VI

Warszawa, dn. 11. VI. 1950 r.

Nr 23 (254)

Jan Nagrabiecki

Cóż to jest świat

Cóż to jest świat?
Najpierw suma kolorów,
światła i cienie,
poranki i wieczory
pokoleniami idące promienie.

Jest to muszla z gwaru
i ciszy,
pagórków i jarów,
pięter kamienie i architektonicznych pisz.

Cóż to jest świat?
Jest to płat słońca i śniegu,
a przede wszystkim sam człowiek:
porównaj jego ból i uśmiechy.
Światem jest ludzka praca i więcej powiem,
że światem jest także ludzka śmierć.

Cóż to jest świat?
Jest to walka
wyzyskiwanych przeciwko wyzyskiwaczom,
ciemiejących przeciwko katom.
Jest to zwycięstwo proletariatu,
dające więcej pola bezrobotnym oraczom

Cóż to jest świat?
Jest to cyfra i słowo,
są to domy, piaski i kwiaty,
są to rzeki, lasy
i morza śpiewające koloraturą i basem,
a przede wszystkim walczący człowiek.

STEFANA GIEROWSKI

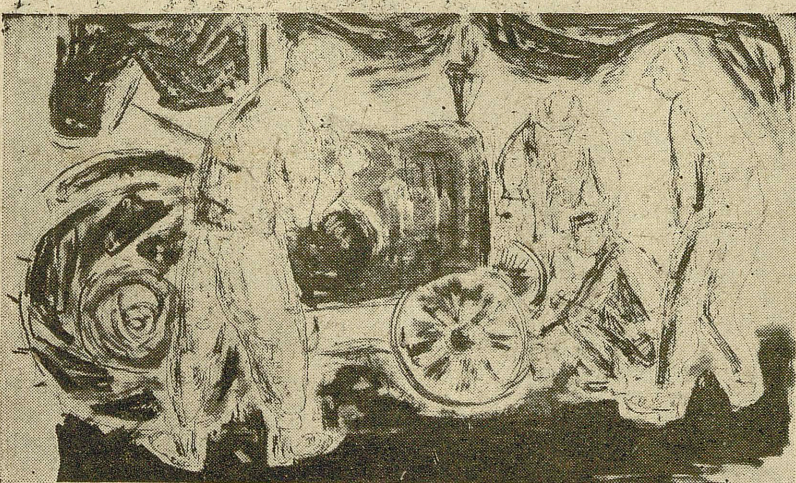
SZKICE Z P.G.R-u W SIEDLISKACH



Zebranie Ligi Kobiet



Ponad normę! (sadzenie ziemniaków)



Konserwacja traktorów

KAZIMIERZ DĘBNICKI

KADRY DZIENNIKARSKIE

Przed dziennikarstwem naszym stoi sprawa wytworzenia licznej kadry, klasowo z proletariatem i pracującym chłopstwem związanej, ideologicznie wysoko wyrobionej, wyszkolonej fachowo, obdarzonej bezspornymi uzdolnieniami i ucieleśnionej w pojmowaniu zadań aktywisty prasy postępowej.

Domagają się tego zwiększone zadania gazety i periodyków, jakie prasa polska musi wykonać, zadania dawno już przekraczające ramy zwykłej informacji i dawno nie mające nic wspólnego z tanim rozrywką, czy sensacyjną tandetą.

Realizacja Planu 6-letniego, przyspieszony marsz do socjalizmu, coraz bardziej aktywna walka o pokój, coraz ściślejszy, braterski sojusz z ZSRR i państwami Demokracji Ludowej — wytyczają polskiej prasie określone cele jej działalności.

Zagadnienie dojrzewającej, nowej kultury, kultury socjalistycznej, niezwykła chłonność mas ludowych w dziedzinie konsumpcji dóbr kulturalnych, niebawem wzmożona praca nad upowszechnieniem oświaty, wielka problematyka zaciśnięcia więzów kulturalnych, naukowych z czołowymi, postępowymi jednostkami i zespołami intelektualnymi, walczącymi zagranicą przeciwko kapitalistycznym rządcom imperialistycznym — to również sprawy najwyższej obchodzące nasze dziennikarstwo.

Na te sprawy i problemów rola prasy urasta do bardzo poważnych rozmiarów. I im bardziej masowy będzie dziennik i tygodnik, im szersza będzie masa odbiorców słowa pisanego — tym rola dziennikarstwa przysięgać będzie na znaczenie. Nie depreczujmy więc — a jej polityczny komentarz, nie „obiektywny” reportaż, ale reportaż bojowy, walczący, nie oschła publicystyka, ale publicystyka wychowująca i mobilizująca masy czytelnice, nie głupek, tani, obliczony na tramwajowego, zabijającego nudy jazdy konsumenta, lecz felieton, oparty (jak pisał D. Zasławski) na naukowym poglądzie na świat i którego „żart może się stać bojowym orężem”.

Zwiększa się rola prasy, urasta znaczenie dziennikarstwa, rosną jego obowiązki w proporcji do stalego wzrostu wagi słowa pisanego, wyznaczanej takim decydującym miernikiem, jak miliony czytających, ufających gazetce, szukających w niej nauczyciela i doradcy — ludzi pracy, budowniczych socjalizmu.

Rola „kolektywnego organizatora”, roli wychowawcy, roli rzetelnego informatora, roli współorganizatora w walce o Pokój i Socjalizm — podobać może jednak tylko prasa zasobna w wartościowe kadry ludzkie.

Nie zagłębiając się w rozważania dlaczego kadry tych nam brakuje, przejdźmy bez ambicji omówienia całości problemu do sprawy zasadniczej: jak wytworzyć wartościowe, liczne kadry dziennikarskie.

Na wstępie trzeba stwierdzić, że to wszystko co w odniesieniu do prasy partyjnej mówił na IV Plenum K.C.P.Z.P.R. Prezydent Bolesław Bierut — obowiązuje demokratyczną prasę bezpartyjną, obowiązują pracujących w niej dziennikarzy, obowiązują dziennikarzy bezpartyj-

nych demokratów — o ile rzecz prosta, chcą pozostać dziennikarzami z prawdziwego zdarzenia.

ZAGADNIENIE IDEOLOGICZNEGO SZKOLENIA

Operujemy dzisiaj pokąźną już, choć zdecydowanie niewystarczającą grupą dziennikarską. Jej możliwości i użyteczność, wydajność i jakość jej pracy zależą od szeregu czynników, wśród których pogłębianie świadomości politycznej poprzez ideologiczne szkolenie jest sprawą zasadniczego znaczenia.

Byłoby jednak zwięźleniem zagadnienia i ułatwianiem sobie życia, gdyby traktować je mechanicznie, jako obowiązek ukończenia kursu szkoleniowego i złożenia egzaminów.

Dziennikarz wyrasta ideologicznie nie tylko dzięki lekturze marksistowskiej, ale i dzięki aktywnej pracy partyjnej i społecznej, dzięki stałemu kontaktowi z masą ludzką, z jej codziennymi troskami, problemami i dążeniami. Izolowanemu od mas, od życia dziennikarzowi — nie wiele pomogą studia teoretyczne, nie poparte terenową praktyką.

Czy jest to dodatkowym obowiązkiem i tak już nierzadko zaharowanego dziennikarza?

Nie, to problem umiejętności organizacji pracy w redakcjach.

To poważny problem, o którym pisał w swej wypowiedzi konkursowej we „Wsi” — umożliwienia reportażysty ścisłego i trwałego kontaktu z terenem i to kontaktu obustronnie twórczego.

Trzymanie reportażysty w technicznej robocie redakcyjnej mać się podwójnie: Człowiek jałowicie i redakcja, w efekcie, traci więcej, niż warta jest tego, nawet najlepsza, adiustacja.

Dotyczy to zresztą nie tylko reportażysty, ale dobrego publicysty, felietonisty itp. Obarczanie ich, praktykowane często, skądinąd bardzo odpowiedzialnymi funkcjami w redakcji, funkcjami o tyle jeszcze zobowiązującymi, że są wyrazem zaufania do ich politycznej uczciwości — nie zawsze jest słuszne.

Przecież w efekcie następuje izolacja od życia i izolacja od pióra ludzi wartościowych, którzy spełniają rolę... adiustatorów, gdy prace, które winni oni wykonywać — robią nieraz niepowołani, lub jeszcze niewyrobieni politycznie koledzy.

Zubaża to i naszą publicystykę i nasz reportaż, a czy nie daje złych wyników, jeżeli chodzi o tak ważny problem, jak kontakt mas chłopskich i robotniczych z dziennikarstwem to również sprawa do rozstrzygnięcia.

Nie chcę być źle zrozumiany. Nie myślę o zmianie ról. To byłoby również szkodliwe. Sądzę jedynie, że w akcji tworzenia kadr trzeba pomyśleć o skierowaniu na funkcje techniczne i polityczno-adiustacyjne ludzi niekoniecznie obdarzonych zdolnościami pisarsko-dziennikarskimi, ale zato pewnych i wyrobionych politycznie, posiadających wyczuć słowa pisanego, posiadających dar uważnego czytania. (Nie mówię tu o adiustacji, dokonywanej przez naczelnego redaktora, gdzie w gre wchodzi i sprawa planowania, konstruowania artykułów wadliwie opracowanych).

Zygfryd Sawko

Dwie Rozalie w czytelniku

W czytelniku słońce. Z każdej strony
Wezbrane fale zbóż,
Aleje, łaki, sad zielony,
Zagłę strzech w blasku zora.

Czytają prasę dwie Rozalie
W wieku po lat sześćdziesiąt pięć —
Ubrane w kwiaty na perkalach —
W powszedni dzień.

A w prasie wieści: Za granicą
Gdzieś topią w morzu brzoń.
Strajki i strzały na ulicach;
To bój o pokój. Front.

I huczy bęben. Gdzie? W Sieradzu
Węc w kraju... Oka rzut
Wystarczył im: Na defiladzie
W imię pokoju lud.

Gromada za gromadą, gminy
W pochodzie wielkim i
Rozalie. Tysiąc cór ich, synów.
— To sieradzanie szli.

Wezarajsi szli analfabeci
Pozdrawiając daleki Kreml,
Skąd gołąb wzywał nad kraje, zleciał
Okręć je skrzydeł dniem.

Zygfryd Sawko

W NUMERZE

A. GOŁĄB-TURNICKI, A. F. KIRŁO-NOWACZYK, M. MIREK, E. DALIN, K. BARTYZEL
I. CIAPALANKA — Podhale o pokoju
S. TAZBIR — Więcej książek J. CHELEMSKIEJ — Thenu do Vries — wiersze
J. KELLERA — Droga i Amado J. BIELAK — Rycerz Nadziei
J. BŁONSKI — Trzy oblicza zbrodni M. WIELGUS — Trzy spojżenia
F. SZEWEŁA — Muzyka nad Moszczemą Z. CHYLINSKI — Krytyka idealizmu
Z. SZPROKOFF — Grecja walczy O. JĘDRZEJCZYK — Partyzanci budują pokój

Zwolni to wartościowych pisarzy-dziennikarzy — dla ważniejszych naprawdę prasowych obowiązków. A zarazem, wiążąc ich z piśmiem i z masą ludzką, z terenem — wzbogaci ideologicznie, da konieczną praktykę, konieczną dla uzupełnienia studiów teoretycznych.

„Polityka kadrowa — mówił przecież Prezydent Bierut — to umiejętny dobór i rozstawienie ludzi na podstawie gruntownej znajomości ich zalet i wad, ich kwalifikacji i uzdolnień, to troskliwe wychowywanie ludzi przez pomoc w rozwijaniu ich zdolności i pozbywaniu się wad, przez przyspieszenie ich rozwoju”.

Chyba nie będę daleki od prawdy, jeżeli powiem, że cytowane słowa Przewodniczącego K.C. PZPR — czekają na pełniejsze niż dotychczas ich realizację w dziennikarstwie polskim.

KORESPONDENCI TERENOWI

Mówiąc o upolityczeniu kadr dziennikarskich Prezydent Bierut stwierdził:

„Ważnym czynnikiem upolityczenia tych kadr, ściślejszego powiązania ich z zasadami konkretnymi i potrzebami mas pracujących jest ruch korespondentów robotniczych i chłopskich”.

Znaczenie ruchu korespondentów dla oblicza naszej prasy jest oczywiste. Waga jaką ma dla zawodowych dziennikarzy kontakt z terenem, jego bólami i jego pragnieniami, którego ogniwem najważniejszym jest korespondent terenowy, nie wymaga dodatkowej oceny. Wypowiedzi Prezydenta Bieruta, premiera Cyrankiewicza i sekretarza K.C.P.Z.P.R. — Zambrowskiego o korespondentach robotniczych i chłopskich uświadomiły wszystkim, nie tylko dziennikarzom, wielkość zagadnienia.

Mało jednak mówi się jeszcze na szpaltach naszej prasy o ruchu korespondentów, jako źródle nowych, zawodowych sił dziennikarskich.

A w okresie walki o nowe kadry dziennikarskie — sprawa ta nabiera specjalnie wielkiego znaczenia. Nie znaczy to, by w ten sposób przekreślić znaczenie szkolenia zawodowego, szkół dziennikarskich itp.

Chodzi o to, by korespondent nie traktował swej pracy, jako szczytowego momentu swego dziennikarskiego rozwoju i by redakcje ze swej strony nie uważały korespondenta terenowego tylko za informatora i łącznika, który osiągnął maksimum swych „dziennikarskich” możliwości.

Oczywiście wśród korespondentów, wielu, może większość traktować będzie swą pracę peryferyjnie, jak coś dodatkowego przy murarce, górnictwie czy hutnictwie. I to jest zrozumiałe.

Nie oznacza to jednak, że redaktorzy pism nie powinni bacznie obserwować piszących korespondentów, śledzić rozwoju ich zdolności i zamieniać dziennikarskich, pomagając w tym rozwoju, wychowywać a wreszcie w miarę wykazywanych uzdolnień wciągać najlepszych dziennikarsko jednostek do zespołów redakcyjnych na stałe.

W ten sposób dla wielu korespondentów praca obecna, informacyjno-krytyczna, ograniczona zakresem spraw wyłącznie ich terenu — stanie się etapem na drodze do pełnego związania się z zawodem dziennikarskim.

Obok zasady, że gazeta jest współredagowana przez aktywnych czytelników — korespondentów, trzeba by postawić drugą, która głosi, że jednym ze sposobów powiększenia ilościowego i wzmoczenia jakościowego ideologicznego kadry dziennikarskiej — jest oparte na rzetelnej ocenie, przydatności dla zawodu, werbowanie dziennikarzy z szeregu korespondentów robotniczych i chłopskich.

W dużym stopniu ułatwi to sprawę składu klasowego dziennikarzy polskich. Gdyby chcieć sumiennie wczytać się w tysiące korespondencji napływających codziennie z terenu do redakcji dzienników i czasopism, to niewątpliwie obok nierzadko spotkanego „nerwu” dziennikarskiego, obok tego co nazywamy „wycieczkami tematami”, umiejętnym „rozpracowaniem” publicystycznym, natknąłbyś się na szczerą, rudo talentów pisarskich.

Fakt, że człowiek pisze, każe już przypuszczać, że wielu z tych piszących ludzi — posiada prawdziwe zdolności dziennikarsko-literackie, które trzeba otoczyć troskliwą opieką, a ich posiadaczom stworzyć możliwości kształcenia się.

Nie można wątpić, że tą drogą

zdobędzie się dla dziennikarstwa i literatury nowe, najściślej z życiem mas ludowych związane — kadry.

SPRAWA KONKURSOW

Jest niestety publiczną tajemnicą, że na wielu odcinkach dziennikarstwa, również i na tych, które jak np. reportaż — stoją na pograniczu literatury, nasze osiągnięcia są dość mierne.

Nie mówiąc już o Związku Radzieckim i jego przodującej prasie, ale w wielu krajach demokracji ludowej, czy w prasie postępowej, komunistycznej — państw kapitalistycznych — zrobiono w tej dziedzinie więcej niż u nas.

Niezależnie od tego, że sporo jeszcze reportażystów np. — urzędujących za redakcyjnymi biurkami, zamiast piórem bogaciejszy reportaż a tym samym i polską literaturę, faktem jest, że jest ich w ogólnej sumie — nie wielu.

Obok ideologicznego szkolenia, które piszącym już dziennikarzom pomoże w ich pracy, ułatwi właściwe rozszyfrowanie niejednokrotnie skomplikowanych zagadnień z jakimi się stykają i jakim muszą dać wyraz w swych reportażach, obok lepszego użytkowania wartościowych dziennikarzy-reportażystów, obok masowego źródła nowych sił dla zawodu — istnieje jeszcze jedna (naprawdę nie ostatnia) możliwość powiększenia kadr dziennikarskich.

Myślę o konkursach. „Wies” była pionierką na odcinku reportażu chłopskiego. Przy wszystkich błędach nadesłanych na konkurs „Wsi” prac — wniosły one wiele nowego i cennego materiału, a przede wszystkim wykazały, że mamy pokąźną grupę ludzi, którzy w literacko-nieźle formie, potrafili ująć trudną problematykę terenu wiejskiego.

Czy wszyscy ci ludzie są dziennikarzami? Na pewno nie.

Czy wszyscy są, względnie byli, nawet pracując w dziennikarstwie, uważani za reportażystów?

Na pewno nie. Czy w wyniku, znanego przecież powszechnie, konkursu — ludzie ci uzyskali możliwości pracy w dziennikarstwie i właśnie na odcinku reportażu? Sądzę, że i na to pytanie odpowiedź nie byłaby w 100% zadowalająca.

A konkurs tego typu mimo wszelkich słabych stron, jeżeli chodzi o pełną ocenę zdolności i możliwości jego uczestników, stanowi jednak zawsze poważny krok naprzód w dziedzinie poszukiwania nowych kadr dziennikarskich. Zarówno konkurs taki jak ogłoszony przez „Wies”, jak również np. konkurs na felieton, artykuł publicystyczny itp.

Wydaje mi się, że choć konkursy takie potraktować poważnie, jako narzędzie werbowania i odkrywania przyszłych zdolnych dziennikarzy — trzeba z wyników konkursu — wyciągać pełne konsekwencje.

Dalej myślę, że konkursy winny być częste, ogłaszane w różnych rodzajach twórczości dziennikarskiej, przez różne czasopisma i dzienniki, odnośnie wszelkich centralnych zagadnień naszego życia.

Konkursy powinny być omawiane, ich wyniki dyskusowane, ocena jury i jej motywy publicznie ogłaszane, błędy nadesłanych prac i wartości dodatnie na łamach zainteresowanych pism oceniane. Autorzy winni się możliwie szeroko wypowiedzieć, z pełnym uwzględnieniem krytyki i samokrytyki.

Wyniki konkursów nie mogą oczywiście, jak i szczególnie motywy ocen jury — pozostać „słodką tajemnicą” paru osób. Zraża to uczestników i odbiera konkursom siłę atrakcyjną, dzięki której mogą one werbować nowe kadry piszących, wychowując ich przy tym publiczną oceną prac.

Trzeba też baczyć, by skład jury nie obejmował osób, których postawa polityczna i postawa wobec zagadnień nowej, realistycznej literatury, czy wreszcie ich własne prace — były obce dzisiejszemu czasowi, tendencjom nurtującym życie narodu.

Konkursy odpowiadające tym wymaganiom — mogą stać się jednym z poważnych składników naszej walki o nowe, ideologicznie wysoko stojące, zdolne kadry dziennikarskie.

Pobieżnie poruszone fragmenty wielkiego zagadnienia kadr dziennikarskich — nie wyczerpują całości problemu. Nie poruszylem np. kwestii szkół dziennikarskich. Zdecydowanie należało jak najszerszej wokół tych spraw dyskusji.

Kazimierz Dębicki

STANISŁAW TAZBIR

WIĘCEJ KSIĄŻEK*)

O ROLI, jaką spełnia już dziś książka prywatna (własna) w upowszechnianiu czytelnictwa nie mamy bodaj jeszcze żadnych danych; możemy się jedynie domyślać, że jest ona skuteczna i dobrze służy sprawie „ofensywy kulturalnej”. Książce prywatnej poświęca się wiele uwagi, ale wciąż jeszcze za mało. W propagandzie czytelnictwa należałoby kłaść na nią dużo większy nacisk, niż się to robi. Trzeba przy tym pamiętać, że nie wystarczy tu jednak tylko odpowiednia propaganda i docierająca wszędzie dobra informacja o książce, lecz, że niezbędne są nadto specjalne zabiegi i środki organizacyjne, udostępniające ją rzeczywistocie „masowemu” czytelnikowi. Niepodobna jeszcze określić jaka jest dziś i jaka być powinna w najbliższych latach „lokata” książek prywatnej (własnej) w hierarchicznym rozmieszczeniu ogólnokrajowych zasobów książek dzisiejszych i przyszłych. Można jednak chyba przyjąć za pewne, że liczebność książki prywatnej będzie stale i w coraz wyższym stopniu górowała nad książką „publiczną”, gromadzoną w różnego rodzaju księgozbiorach bibliotecznych, pozostałych pod bezpośrednim kierownictwem organów państwowych, samorządowych i społecznych. Dlatego właśnie nie tylko w polityce wydawniczej, ale i w pracach kulturalno-oświatowych sprawa książki prywatnej powinna być przedmiotem specjalnych badań i szczególnej troski.

Co można z kolei powiedzieć o rozmieszczeniu książki w księgozbiorach, które dla skrótu nazwijmy „publicznymi”? Przede wszystkim, jak sądzić, należałoby dla potrzeb racjonalnego szerzenia czytelnictwa a wraz z tym ułatwienia planowania, ustalić jakiś podział tych księgozbiorów z punktu widzenia ich zasięgu. Może byłby tu wystarczająco przydatny podział zasobów bibliotecznych ze względu na użytkowanie książek: a) powszechne, b) ograniczone, c) w kręgach specjalnych. Przy takim podziale biblioteki tzn. powszechne (samorządowe), wojewódzkie, powiatowe i gminne (wraz z tzw. punktami bibliotecznymi) znalazłyby się w grupie a); do tej grupy należałoby wliczyć istniejące jeszcze tzw. wypożyczalnie prywatne, działające na zasadach komercyjnych. Wszelkie biblioteki szkolne wraz z bibliotekami wyższych zakładów naukowych, obsługujące zasadniczo zamknięte kręgi czytelników (uczniów, studentów) oraz księgozbiory organizacyjno-społecznych (Związków Zawodowych, Zw. Samopomocy Społecznej itd.), przeznaczone z reguły dla członków, znalazłyby się w grupie b). Wreszcie do grupy c) należałoby wliczyć specjalne zakłady biblioteczne i biblioteki tzw. naukowe oraz pokątną liczbę księgozbiorów „pomocniczych” (podrecznych), rozproszonych po różnych instytucjach, zakładach, urzędach i placówkach państwowych, samorządowych i spółdzielczych.

Powyższy podział na grupy, który — jak już zaznaczyłem wyżej — może być pomocny dla przyszłych analiz nie da się zastosować dla oceny sytuacji bibliotecznej przedwojennej, gdyż brak dla tamtego okresu zarówno pełnych jak szczegółowych danych. Nie mniej tam, gdzie porównania są możliwe, będzie je zaznaczać. Otóż można np. wskazać (patrz: „Rocznik statystyczny” z r. 1939), że w r. 1937/8 na grupę a) przypadało zaledwie 1 milion 700 tysięcy tomów (niecałe 5 książek na 100 mieszkańców), a na tzw. biblioteki „społeczne” około 4 milionów 800 tysięcy tomów. Jeśli traktować te ostatnie biblioteki jako tzw. oświatowe i włączyć je do grupy a) — otrzymuje się łącznie około 6 i pół miliona tomów (niecałe 19 książek na 100 mieszkańców). Do grupy c), w której główne miejsce zajmują biblioteki naukowe, można by włączyć około 3 i pół miliona tomów (tę „biblioteki naukowe”). Zasoby biblioteczne szkolne wszystkich typów szkół (w tym wyższych zakładów naukowych i zakładów kształcenia nauczycieli, których „lokata” dzisiejsza znajduje się w grupie b) miały wówczas łącznie niecałe 11 milionów tomów. Dawalo to na 1 ucznia szkoły powszechnej około 1 i 1/10 książki, na 1 ucznia szkoły średniej ogólnokształcącej około 13 i pół książki, na 1 ucznia szkoły zawodowej niecałe 8 książek, na 1 słuchacza zakładu kształcenia nauczycieli — około 12 książek, wreszcie na 1 studenta około 62 i pół książki. Podając powyższe „przeciętne” dla bibliotek szkolnych czynię to w intencji, że mogą się one przydać jako liczby orientacyjne przy obecnych urzędowych tego rodzaju bibliotek. Zarazem jednak muszę wyjaśnić, iż gdyby niektóre z tych „przeciętnych” wydały się korzystne, należy pamiętać, że szkoły średnie i wyższe w okresie przedwojennym służyły warstwowo społecznie uprzywilejowanym i posiadały stosunkowo niewspółmiernie, mniej młodzieży (co wpływa na zwiększenie ilorazu) niż szkoły dzisiejsze, zwłaszcza wyższe i zawodowe. Jednocześnie trzeba podkreślić rzecz dla okresu przedwojennego — znaną, że szkolnictwo powszechne podobnie, jak w innych dziedzinach — było również pod względem bibliotecznym pogrążone w sytuacji w zakresie upowszechnienia książek

„oświatowej” (księgozbiory samorządowe i społeczne) przedstawiała się po prostu ponuro; wystarczy powiedzieć, że na wsi w r. 1939 jedna książka przypadała na 24 mieszkańców!

Jeśli zsumować wymienione trzy kategorie zasobów bibliotecznych, otrzymamy łącznie około 21 milionów tomów dla stanu bibliotecznego, jaki istniał w Polsce w latach 1938 — 1939. Świadczy o tym, że odmiennie tzn. jak pozytywnie potraktowane zostało zagadnienie biblioteczne w Polsce Ludowej jest fakt, że już w czerwcu 1946 r. ukazuje się o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi; dekret na który mimo wysiłków i zabiegów bibliotekarzy nie mogły się zdobyć rządy burżuazyjnej Polski w ciągu 20 lat międzywojennych. Za ustawą poszły czyny. A nie były one łatwe, gdy się zważy, że z wymienionych wyżej 21 milionów tomów ocalało z lat okupacji zaledwie około 6 milionów, z czego przypuszczalnie na biblioteki samorządowe, społeczne i szkolne razem przypadało około 1 miliona książek. Toteż jeszcze w r. 1947/8 zaledwie niecałe 43 proc. szkół posiadało księgozbiory i to w rozmiarach nie odpowiadających nawet skromnym potrzebom. Czyniło to np. na 1 ucznia szkoły powszechnej około 7,10 książki, na ucznia szkoły średniej, około 3 książki, a na 1 słuchacza zakładu kształcenia nauczycieli około 5 książek.

Dziś, tj. na początku r. 1950 wszystkie zasoby biblioteczne w kraju obejmują łącznie zapewne około 30 milionów tomów (dokładnych danych jeszcze nie posiadamy), z czego na księgozbiory 3976 bibliotek powszechnych (powiatowych oraz gminnych miejskich i wiejskich) wraz z 20 tysiącami „punktów bibliotecznych” przypada około 6 i pół miliona tomów. Z powyższej globalnej liczby książek do grupy a), tj. do zasobów dla użytku powszechnego należą ponad 21 proc., do grupy b), tj. zasobów dla użytku ograniczonego — około 63 proc., do grupy c), tj. zasobów dla użytku w kręgach specjalnych — około 16 proc.

Ile troski, wysiłków i kosztów wymagało tworzenie księgozbiorów bibliotek powszechnych, aby je doprowadzić do 6 i pół miliona tomów oraz jak szybko się to stało, łatwo się zorientować, jeśli się zważy, że gdy obecnie 1 książka „powszechna” przypada już na 3 i pół mieszkańca, a jeszcze w r. 1946 mieliśmy 1 książkę na 22 mieszkańców (w r. 1947 — 1 książka na 8 i pół mieszkańca, w r. 1948 — 1 książka na 5 i 3/10 mieszkańców).

Szybkość, z jaką dotychczas następowała „rozbudowa” wszystkich księgozbiorów pozwala sądzić, że w korzystnych warunkach istniejących w kraju dla książki bibliotecznej, nie będzie trudno w okresie Planu Społecznego doprowadzić sprawy bibliotecznej do takiego stanu realizacji, który umożliwi wystarczające zaspokojenie potrzeb.

Jakiej ilości książek do tego potrzeba? Odpowiedź na to pytanie może być dana w tej chwili jedynie orientacyjnie. Otóż kierując się np. oczekiwaniami bibliotekarzy zainteresowanych w akcji bibliotek powszechnych należy przyjąć, że będzie im potrzebowali pod koniec okresu sześciolatniego 1 książki „powszechnej” na 2 mieszkańców kraju. Wymagałoby to około 13 milionów tomów (będziemy mieli w r. 1955 około 25 i pół miliona ludności), a więc podwojenie zasobów, posiadanych obecnie.

Gdyby w podobny sposób przyjąć względnie wystarczające „przeciętne” na jednostkę w odpowiednich rodzajach bibliotek (np. na ucznia stopnia podstawowego szkoły ogólnokształcącej i I stopnia licealnego — 8, na słuchacza zakładu kształcenia nauczycieli — 12, na studenta — 70 tomów) oraz na biblioteki organizacyjno-społecznych około 5 milionów tomów, a na biblioteki grupy c) około 6 milionów — uzyskalibyśmy do razem z księgozbiorami powszechnymi na koniec 1955 r. około 50 milionów tomów, a więc wzrost w porównaniu z obecnymi, ogólnymi zasobami o prawie 20 milionów, czyli przeciętnie o blisko 3 i 3/10 miliona tomów rocznie w ciągu realizacji Planu 6-letniego.

Gdyby jednocześnie określić szacunkowo koszt jednego tomu na 400 złotych, to trzeba by wydatkować w czasie do końca 1955 roku blisko 8 miliardów złotych (czyli obecnie około 1 i 3/10 miliarda) a ogólna wartość wszystkich zasobów bibliotecznych (wg. tego samego szacunku) stanowiłaby sumę około 20 miliardów złotych. Koszt doprowadzenia księgozbiorów „powszechnych” do liczby 13 milionów tomów wyniosłby (à 400 zł.) około 2 i 6/10 miliarda złotych. Do tej sumy należałoby jeszcze dodać około 2 miliardów złotych na koszty urządzeń bibliotecznych (pomieszczenia, sprzęt itp.) i opłaty personelu.

Jak z powyższego widać, sprawa bibliotek powszechnych — to sprawa niezwykle dużego wysiłku finansowego. Ale nie tylko finansowego. To także kwestia odpowiedniego planu i wysiłku wydawniczego oraz pierwszorzędnej wagi sprawa kadr bibliotecznych i społecznych sił pomocniczych.

STANISŁAW TAZBIR

*) Patrz St. Tazbir: „Rola książki w rewolucji kulturalnej” — Wiś 2.

P O D H A L A Ń S K I E



rys. Stefan Gierowski

Apel Pokoju podpisują wszyscy

Wieś Podhalańska w walce o pokój

Dzień 1-go maja w gminie Podhalańska był imponującą manifestacją ludności za utrzymaniem pokoju. Hasło Walki o Pokój zmobilizowało tak rolników jak i robotników, młodzież, dzieci szkolne i kobiety. W dniu tym bowiem została zapoczątkowana akcja walki o trwały pokój. Zawsze w dniu 14 maja rozpoczęto zbieranie masowych podpisów pod rezolucję, ogłoszoną przez Obóz Pokoju, uchwaloną w Sztokholmie. Na ten dzień zostały zwołane po gromadach publiczne zebrania mieszkańców. Zebrania odbywały się z udziałem delegowanych z pow. Kom. P.Z.P.R. i Z.S.L., którzy występowali w roli mówców.

Wieś liczy ponad 400-tu mieszkańców. Jest tutaj zorganizowane przed rokiem Koło Z.S.L. Oddział Zw. S. Ch., Koło Gospodyń oraz Ochotnicza Straż Pożarna. Członkami tych organizacji — tu i tam są jedni i ci sami ludzie, większość to bezpartyjni, ale udział biorą we wszystkich pracach i przejawach życia gromady. Nie chcą tylko iść pod rozkaz „prezesów”, mówią, że wola słuchać jednego gązdy — sołtysa. We wsi wyrażają bogactwo ludności nie ma, przeważają średnioludni o 3 hektarowej gospodarstwach. Ludność licząca się w gminie to około 13 milionów tomów (będziemy mieli w r. 1955 około 25 i pół miliona ludności), a więc podwojenie zasobów, posiadanych obecnie.

Jasiek S., młody gązda, mający dwoje dzieci i też 2 ha gruntu, opowiada, że miał szczęście otrzymać jeszcze w marcu „list boży”. — Nigdy już nie uwierzę — mówi — bzdurom i tajemniczym listom bożym — 8 maja miało się słońce palić i stał miał być straszny gorąc na świecie — 12 maja połowa ludności miała już wyginać. — Do przedwczoraj myślałem o tem i bałem się na serio. — Dziś — kończy Jasiek — już wiem, że to były budy.

— Ho, ho jeszcze się Jasiku nie cieszył, bo o nieszczęściu nie trudno — przygaduje stara Szymkula — wojny, Jasiku, kapeluszem nie nakryjesz, a ja słyszałam, że są jakieś podżegacze w Ameryce, co do wojny szcują. — Tak, szcują drugi na murzynów i innych, a sami to się po tyłach chowiom — ja to by takiemu podżegaczowi, co się mu wojny zachciwa, oczy warem sparzyła — mówi z naciskiem Szymkula. Szymkula, jako gązdzina posiada 4 ha i 5-osobową rodzinę, jest oddaną wdową, maż jej to ludowiec z czasów przedwojennych. W czasie ostat-

niej wojny miała córkę i zięcia w obozie oświecimskim, z którego zięć nie wrócił. Trzy krowy zjedł jej Niemcy i inne „folksdojce”, koń z forsąpanu też się nie wrócił, nie licząc już innych rzeczy z kontyngentów, którymi całą ludność trapił.

Zięć Szymkuli to również był działacz, posiadał w domu (u Szymkuli) radio i dużo czytał, stąd Szymkulina uważała go za „rolnika Polskiego” i „rolnika”. — Bierz listę do rąk i wolno zdanie za zdaniem odczytuję rezolucję sztokholmską, którymi całą ludność trapił.

O Rezolucji Pokojowej, pod którą ma się zbierać podpisy — ludność wiedziała już uprzednio z prasy — czytają tutaj przeważnie „Rolnika Polskiego” i „Gromadę” — więc też wywody mówcy nie były dla ludności nowina. Nie rozumiano natomiast, jakim sposobem złożone podpisy mogą dla Anglosasów stanowić przegrodę w rozpętaniu wojny względnie użyciu bomby atomowej. Sprawę tę wyjaśnił Stanisław M., radny gminy i parafialny radca, który powiedział: — My swoimi podpisami wyrażamy swoją wolę, że chcemy pokoju, że łączymy się z całym światowym obozem pokoju, potępiając wojnę i tych, co ją chcą wywołać — każdego zaś kto ją rozpęta, będziemy uważać za zbrodniarza i jako takiego oddamy przed międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości do ukarania karą śmierci, tak jak zostali ukarani hitlerowcy Niemiec Goering, Frank i inni. I to właśnie powstrzyma podżegaczy od rozpętania wojny — bo z wola większości ludzi świata każdy liczyć się musi — zakończył Stanisław.

W dniu 18 maja członkowie gminnego Komitetu Pokoju rozpoczęli zbieranie podpisów. Z całej wsi jeden jedyny gospodarz nie chciał złożyć podpisu, chociaż wojny nie chce — ale że raz za okupacją kazali mi się na coś podpisać, to potem musiałem drzewo wozic z lasu — powiada ów gązda. Jest to już starszy chłop, ponad 60 lat mający i analfabeta nie rozumiejący przemian społecznych i życia społecznego w gromadzie, w którym udziału nie bierze — haruje na 5 morgach ziemi i kocha swojego konia więcej od żony.

GOŁĄB - TURNICKI

U biedoty przede wszystkim

I

Chata wprawdzie murowana, ale pod ścianą. Na stronie drewnianej na stodołę z pochylonymi wrotami, przy niej nieduża obórka. Na gnojowisku grzebie się kilka kur. Z psiej budy dobiega się do nas kudłaty kundel. To zagroda małego Antoniego M. Dorabia sobie na życie pracę w lesie. Powrócił przed chwilą od roboty i zmierzając do sieniarki, Antek? — śmieje się „trójkarz” R. — Bo my do ciebie w sprawie pokoju! M. przystaje i wita się z nami serdecznie. — Chodźcie do izby. Jakże to, na dworze listę podpisze? W domu czeka żona i dzieci z babką.

Idziemy, izba dość mała i ciemna. Dwoje nieletnich dzieci bawi się pod piecem łaciętym kotem. Żona gospodarza niska i ładna kobieta, ściera fartuchem krzesła i prosi, żeby za-

jąć miejsca. — Panowie po podpisy? Odpowiadają, że tak. Chce odczytać na głos rezolucję, ale gospodyni przerywa mi oświadczeniem: — Szkoda czasu. Już nam w domu mój chłop wyjaśnił co trzeba. Chodzi o tę bombę atomową. — W lesie pouczano nas — tłumaczy M. i składa na liście swój podpis. Za nim podpisuje listę gospodyni. — A dla nas starczy jeszcze miejsca? — pyta ojciec gospodyni, wychodząc z żoną z sypialni izby. — My co prawda starzy już i kto wie, jak długo jeszcze pocągniemy. Ale podpisać możemy. Staruszkowie podpisują się na liście wolno i ceremonialnie. — Niech te nasze podpisy poświadcza, że i my starzy wojny nie chcemy.

II

Zalogowie mieszkają na komornym. On leży już od lat w łóżku. Ma sparaliżowane obie nogi. Zalogowa

i dwie córki pracują w pobliskim tartaku. O tej porze wszyscy są w domu. Izba zawałona gratami, aż trudno poruszać się w niej swobodnie. Chory postępuje w łóżku i prosi nas o papierosa. — Kurzyć mi nie dają — że to niby dosyć złego powietrza w chacie. Rozkładamy listę na stole i drugi z naszej trójki N. czyta głośno rezolucję. Chory Zalogowa słucha z uwagą. Kobiety mniej. Kręcą się po izbie, zajęte swoimi sprawami. Prosimy wszystkich o złożenie podpisów. — E! — odzywa się Zalogowa albo to co pomaga podpisy? Kto by tam zwał na biednych ludzi. Urośnie z tego pisanie kupa papieru, a wojna jak będzie miała być, to i tak będzie. Bez naszej woli.

Chory mruczy coś pod nosem, wreszcie wybuch: — Glupia, babo! Jak się gromadą będziemy podpisywać, to coś chyba znaczyć będą te podpisy. A właśnie! Niech podpisuje biedota, a gesto. Dajcie mi listę do łóżka, podpiszę. Mnie się teraz o wojnie nie marzy. A wy kobiety za mną. Żeby nas nikt palcem nie wytykał.

Chory podpisał listę, a potem zrobiła to samo Zalogowa i jej dwie córki.

III

W domu Wiecka wita nas serdecznie. Wiecek pracuje na kolei i jest członkiem P.Z.P.R. Rok temu odwołał. Po żonie zostało mu dwoje małych dzieci, którymi opiekuje się teściowa. Czasy okupacji spędził jako żołnierz w niewoli niemieckiej. Po wojnie dostał robotę na kolei, wrócił do partii i jest aktywny. Od dwóch lat zasiada w gminnej radzie narodowej i jak może troska się o sprawę swojej wsi.

W tej chwili w izbie pokazuje się teściowa Wiecka. — No, matko. Podpiszemy listę, co? Bo zważę sobie, matko, to przecież o wnuki wasze chodzi. Żeby zdrowo na obywateli naszej Polski wyrosły.

Staruszka kiwa głową, ale jakoś niepewnie. — Powiadali, że te podpisy to niby na te spółdzielnie produkcyjne, czy jakoś tam...

Wiecek zaśmiał się w głos. Bredni wam naopowiadali! Toć każdy wie, na co swój podpis składa. — Bierz listę do rąk i wolno zdanie za zdaniem odczytuję rezolucję sztokholmską, którymi całą ludność trapił.

— A ja przecież podpisu nie odmawiam — tłumaczy się żywo staruszka — ino mi się już w głowie kręci od tej ludzkiej paplaniny. Dojcie piero. Stara już jestem i jedną nogą w grobie. Ale jak o wnuki moje idzie, to chybabym rozumowi w głowie nie miała, żeby nie podpisać.

Podpisuje pierwsza, a za nią dopiero Wiecek.

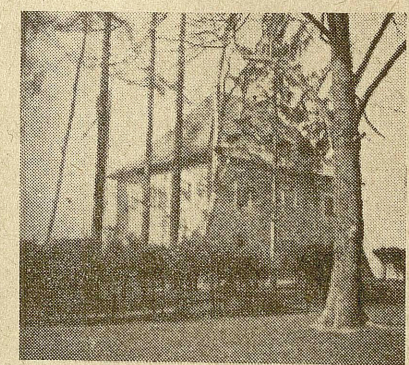
IV

Babka G. żyje samotnie w drewnianej chacie. Dzieci rozproszyły się po świecie i mało co pamiętają o matce. Staruszka występuje się za żyłkę strawy kulakowi M. Zastępuje ją w domu. Naprawia przy kopającej lampie roboczą odzież. Patrzy na nas otepalnymi ze starości oczami. Jest trochę głucha i trzeba mówić do niej głośno. — Babko, podpiszecie się tu za pokój? Nie dośłyszała dobrze, ale zdaje sobie sprawę z naszej wizyty.

— Boga się ludzie bójcie! — odzywa się trzęsącym głosem — kto to widział, żeby się na kościół zma- wiać? — Popatrzylismy na siebie

Wysoka i jej były analfabeta

Na słonecznym południowym stoku wzgórze — rozrzucone wzdłuż drogi wodociąg na Słowację, około naszewsz lasem — leży wioska Wysoka. Z dala już widać piękna szkołę, beniaminek — duma gromady,



Szkoła w Wysokiej

mienia się na tle ciemnego lasu jasne drewniane domki z wysokimi podhalańskimi szczytami dachów. Tu dziesięć lat temu było tylko jedno pogorzelsko — trudno w to uwierzyć, nie ma żadnych śladów zniszczenia. Spłonęła cała wioska doszczętnie, wzdłuż drogi sterczały komin spalonych domów, między gruzami czerniały opalone drzewa. Ze 145 gospodarstw ocalało tylko siedem na uboczu wioski.

Niemcy niszczyli las, z samego tylko rejonu Wysokiej wyrwieili 70 tysięcy kubików drzewa. Nie brak w naszej wiosce wdów i sierot po zaginionych w wojnie, emigrantach wojskowych przy drodze przypomina nam codziennie o okropnościach minionej wojny. Leżą tutaj zwłoki 30 żołnierzy i chłopów — bohaterów, którzy walczli o wolność.

By obrócić wioskę w gruzy wystarczyło kilku dni, by ją odbudować trzeba było parę lat znoјnej pracy i wysiłku.

Pragniemy szczęścia i pokoju dla naszych dzieci. Dlatego też właśnie zaczęli wycofanie odbudowę wioski od budowy szkoły. Przed wojną uczyli się tutaj dzieci w wynajętej

znacząc. Robota kulaka M. była aż nadto widoczna. — A kto wam matko gadał, że to przeciw kościółowi? — A gadał, gadał... I nie było kto. Ale taki co swój rozum w głowie ma.

N. przysiadła się do staruszki i długo przedkłada jej, że to nie przeciw kościółowi, a w obronie pokoju. — Słuchacie waszego gospodarza, a to jest człowiek, co myśli o nowej wojnie.

— Już on tam wie, co myśli. Nie głupi jak ja, co się ledwo na nogach ruszam. Kościół chce pozmącać, księży wywieść, żeby ludzie jak dzikie zwierzęta żyli między sobą. Już wy mi lepiej spokój dajcie i nie namawiajcie do grzechu. Podpiszcie, to zaraz dowie się o tym mój gospodarz i tej żyłki strawy na starość się pozbędę... Poszukajcie sobie takich, co podpiszą, bo ja nie...

V

Kulak M. zobaczył nas przez okno i sam wyszedł naprzeciw. A to co znów za Komisja?

— Toć wiecie, więc czego się pytacie? Zbieramy podpisy przeciwko użyciu w wojnie bomby atomowej. — A co mnie ta wasza bomba obchodzi? Czy to się dzisiaj śni komu o wojnie? Pozwólcie żyć ludziom spokojnie, a nikt tej waszej bomby się nie ustraszy. Otwarcie gadajcie. Propaganda i tyle! Dzisiaj podpisuję się przeciw wojnie, a jutro... Ehei! Nie głupim!

— Więcej odmawiacie?

— Ja tam nie odmawiam, broń Boże. — Twarz kulaka przybrała nagle bogobojny wyraz. — Ale każdy swój rozum ma i wie, co w trawie piszczy. A o wojnie nie my będziemy decydować, moi kochani ludzie. Wszystko w reku Boga. Będzie tak, jak się Jemu spodoba. Tutaj nasz ludzki podpis nie pomoże.

Próbowałam więc trójkę przekonać zatwardziałego oponenta. Ale słowa nasze padały jak groch o ścianę. Kulak M. odmówił stanowczo swego podpisu pod rezolucją.

VI

Obywatelka W. jest repatriantką. Mąż i syna zabili jej Niemcy. Gospodaruje na poniemieckiej zagrodzie razem z córką. Zali się, że trudno jej podobać robotę. Ludzie jacyś nieuczynni. Ci bogaci spodebają się patrzeć jak wilki i radziłyby w żyłce wody utopić. Ale ja twarzą jestem kobietą! I takoz na swoim postawie. Uśmiecha się do nas przez izby. Do niedawna była jeszcze analfabeta. Dzisiaj czyta już i pisze, chociaż z trudem. Jest członkinią Koła Gospodyń Wiejskich i opowiada, jak to na ostatnim zebraniu zachęcała kobiety do składania podpisów na liściech pokoju. — Były takie, co mówiły, że ze mnie już galanta komunista. To i dobrze — odpowiadam i gadam dalej oym o wojnie, o mężu i synu. Ależ się spłakała z wszystkiego i drugie kobiety też. Mówię za godzinę gadałam, bo ja wiem. Ale swoje zrobiłam. Kobiety przyrzekły, co do jednej złożyły swoje podpisy. Takoz przyrzekły, że i chłopów swoich i synów naklonia, coży nikogo na wsi nie było takiego, żeby odmówił.

Potem stroskana bardzo tłumaczy się, że nie ma nas czym przyjąć w domu. Wreszcie z prawdziwą dumą kładzie na liście swój podpis, a za nią córka.

A. F. KIRLO-NOWACZYK

izdebce — były tylko dwa oddziały. Obecnie szkoła posiada 7 oddziałów i mieści się w piętrowym murowanym budynku podworskim o siedmiu obszernych salach. Już jesienią 1948 roku odbudowanych było 100 gospodarstw, obecnie wszystkie spalone gospodarstwa stoją odbudowane, piękniejsze jak były. Gromada dotychczas otrzymała blisko 6 mil. zł. pożyczki w pieniądzu i materiale. Przed wojną brak było tutaj sklepów, ludność na zakup towarów zmuszona była chodzić do odległego o 4 km. Jordanowa. W 1949 r. gromada założyła sklep Gm. Sp. Sam. Chł., który się bardzo pomyślnie rozwija. Gospodarze zapotrzebowali się w zboża siewne, nawozy i niezbędne towary na miejscu. Przed wojną wszędzie milociono ręcznie (cepalni), obecnie młocka odbywa się maszyną i motorem. Ponad 20 osób wyjechało na Śląsk, gdzie dobrze zarabają. Wyjechało też kilku na Zachód, gdzie się osiedlił i dobrze im się powodzi. Do poważniejszych planów gromady należą elektryfikacja i radiofonizacja wsi, do których w niedługim czasie przystąpi. Każdy dzień przynosi coś



Pogodny uśmiech dzieci z Wysokiej

nowego wiosce — mówi sołtys gromady Wysoka, Ferek.

Notujemy wypowiadającego byłego analfabety Wawrzyńca Hobota, lat 22, syna drobnego rolnika, w czasie zbierania podpisów pod Apellem Sztokholmskim.

O P O K O J U

„Ciężko musiałem ja i rodzina pracować przed wojną, aby wyżyć. Czułem się bardzo nieszczęśliwy, gdyż mam wadę słuchu i wymowy, więc mogłem tylko krowy paść a o nauce ani mowy nie było. Dzięki kursom, zorganizowanym staraniem władz szkolnych, nauczyłem się czytać i pisać. Teraz chodzę na kurs poprawnego czytania i pisania, nauka idzie mi bardzo dobrze mimo wady słuchu i wymowy. Jestem szczęśliwy, nie czuję się już upośledzony. Za dobre postępy w nauce otrzymałem nawet nagrody, chcę mnie wysłać na dalszą naukę na koszt państwa, jestem młody i zdolny, mogę jeszcze wyższe studia ukończyć — powiedział. Wprost wierzyć się nie chce. Czy wiecie, jak się ciesze? Widziałem jak Niemcy palili domy i strzelali dziesiątkami

Żydów, gdy wszyscy ludzie patrzyli, a soltysa zmuszali, by jak najbardziej wiesz grabił z dobytku. Teraz władze pracują nad rozbudową i oświatą wsi. Czy mógłbym nawet myśleć o wojnie? Wojny nie może być i nie będzie — nie spotkałem jeszcze człowieka, który mógłby jej pragnąć. Trudno mi zrozumieć, że są ludzie, którzy pragną wojny. Broń, którą podlegacie wojenni chcą użyć do realizacji swoich zbrodniczych planów, ludzie pracujący i robotnicy zatapiają w morzu, a energię atomową kaza użyć do celów pokojowych, żeby stała się energią tworzącą dla podniesienia dobrobytu ludzkości tak jak w ZSRR”.

MARIAN MIREK
Jordanów

W poniedziałek Józef Łacny, przewodniczący Gromadzkiego Komitetu Obrońców Pokoju oddaje zapisane listy. Ludzie zgromadzeni przy stole, obliczają podpisy.

— Pozbierali my co się dało — mówi Łacny z zakłopotaniem, drapiąc się po łysinie. — Ponieważ niektórzy nie zostali w domu, a co do reszty to sami wiecie.

Po wyjściu przewodniczącego zebrani chwilę milczą.

— Dziś wieczorem zrobimy zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej — zapowiada wreszcie Urszula. — Wspólnie przeanalizujemy błędy, wysłuchamy niedociągnięć, poszukamy właściwej drogi. Nie wolno nam pozostawić we wsi ani jednego nieświadomego człowieka.

W tej samej chwili słychać za drzwiami nieśmiałe chrobotanie, sze-

pty, które wkrótce przeradzają się w sprzeczkę, wreszcie długie, głośne pukanie. Kilkakrotnie powtórzone zaproszenie do wejścia pozostaje bez echa. W końcu drzwi się z rozmachem otwierają i do kancelarii wpa- da kilka szkolnych dziewczyn.

Po bokach miłych opalonych twarzących kołyszą się ciasno zaplecione warkoczki.

— Bo, proszę pani, myśmy wczoraj nie byli w domu — mówi Teresa, a już Stasia wpada jej w słowo i trzepie po swojemu zawile i precyzyjnie, byle tylko nikt jej nie przewrucił:

— Bo my wczoraj pasłyśmy owce. Ale my się chcemy podpisać, żeby wojny nie było. I chłopki też chcą, tylko oni wstydzą się pani, to wzięli i nas wgnali po te listy!

ELEONORA DALIN

W Stanisławie Dolnym

Wies podgórska, rozbita terenowo na kilka odrębnie żyjących przysiołków. Życie polityczne rozwinięte słabo. Ludność maiorolna pomaga sobie dorabianiem u bogatych chłupników-szewców przy stawianiu ich kamienic. Znaczący wpływ odległego o 3 km. kościoła. Wszelkie nowości czy zarządzenia przyjmowane są z rezerwą. Jednostki postępowe kryją się ze swymi poglądami, aby nie być posądzonymi o „sprzyjanie komunistom”.

Decydujący wpływ wywierają dobrze prosperujący szewcy-chłupnicy, mniej dobrze stolarze, lepsi rolnicy 6-8 morgów i w końcu biedota 2-3-4 morg.

Przychodzą do biedniaka 3-morgowego, bezpartyjnego, dorabiającego po wsiach grywaniem na weselach. W domu czysto, dzieci przy nauce, żona krząta się po kuchni. Na zapytanie, co sady o obecnej akcji pokoju, mówi: „Ja się nawet dziwię, że te trójki chodzą, bo ludzie powinni wszyscy sami pisać bez przychodzenia do nich. Nasi szewcy dużo mówią na demokrację, ale na pewno nigdy by się tak nie dorobili, jak właśnie teraz. Mówię o nich najpierw, bo denerwuje mnie gadanie niektórych bogaczy, że to inna polityka, tylko nie wiadomo na razie jaka, a właśnie tej polityce zawdzięczają elektrykę, kamienie i to, że nie prawie im nie brakuje.”

Jestem biedny, ale jest mi dużo lepiej, jak przed tym. Syna mam w Liceum Mechanicznym na koszt Państwa, drugi już ma iść za nim, dawniej o tym nawet nie marzyłem. Ja prosty człowiek wiem tyle, że o tym czy pokój ma być czy nie, to nie ma co mówić. Uczę synów nie „potem, aby stali się miśmami dla armat, ale chcę żyć i doczekać się chwili, że kiedyś mi pomogą.”

Rolnik 8-morgowy. W domu czysto, książki, gazety, córka nauczycielka. Przekonania, jeśli nie obo-

jętne, to negatywne, bardzo silnie z zoną uległy wpływom kleru. O akcji pokoju mówi:

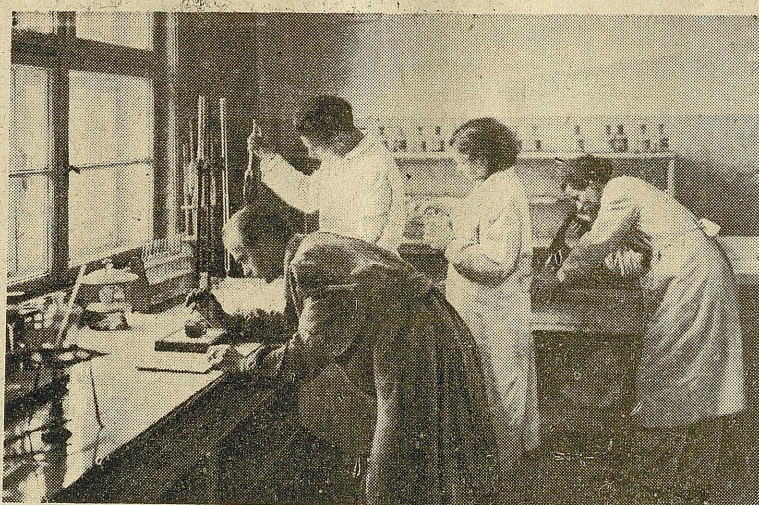
„No cóż, muszę niektóre rzeczy przyznać, że są takie, o których dawniej nie słyszałem i nie przypuszczałem, że w naszej wsi będą. Widzę, że lepiej jedzą jak dawniej, lepiej chodzą ubrani, o groź latwiej, we wsi rusza budowa szkoły, drogi, rząd bierze to w plan, co miesiąc jeździ kino, już na jesieni będę świecić lektryką i będę miał radio. Nie powiem, bo dużo zrobili od wojny. O pokoju to powiem tyle, że wojny to chceć może albo wielki kapitalista, albo pomyłony. Nam, chłopom, nigdy wojna nic nie dała prócz strat w ludziach. Byłem na wojnie 3 razy, to wiem, co one komu dały i kto z nich miał korzyść.”

Tum wraca z mszy i po drodze analizuje podpisy. Ktoś szepnął, że to chodzi o przyłączenie Polski do Rosji. Zawrząło od głosów tych, co słyszeli na akademii, że walka o pokój to rozbudowa kraju, to brak bezrobotnych, to nauka otwarta dla wszystkich i bezpłatnie, to elektryfikacja wsi, podniesienie stopy życiowej. Kto ulega podszeptom, że to „podpisy na Rosję”? Z grupki kobiet starszych i kilku zbalamuconych nie padło już żadne zastrzeżenie.

Ludzie w opozycji sami się pobijają swymi argumentami, bo twierdzą, że dawniej byli bezrobotni, a teraz są poszukiwani za ludźmi, że teraz radio to prawie powszednia rzecz, a nie cuda czy czary, że pokój to pogotowie tych zdobywców co rok więcej, co rok lepiej.

Problem pokoju na wsi nie przedstawia zagadnień powikłanych. Chłop wie, że praca jego wymaga spokoju i że „na pracy” jego ręk i maszyn wspiera się dobrobyt całego kraju, realizacja wszystkich planów i lepsze jutro naszych pokoleń.

KAZIMIERZ BARTYZEL



Z laboratorium Państwowego Gimn. Chemicznego w Krakowie

Młodzież robotnicza i chłopska

W moim gimnazjum chemicznym 60% uczniów, to młodzież chłopska mało i średniorolna, 35% robotnicza. Jasnym jest, że właśnie ta młodzież tak zdecydowanie stoi na straży pokoju. Dla niej słowo pokój łączy się i z ziewa ze słowem socjalizm. Te dwa słowa wyrażają jedną treść.

Gdy w naszej szkole podpisano apel sztokholmski, słyszałem takie wypowiedzi na zapytanie „dlaczego pragniesz pokoju?”:

Jestem synem robotnika — mówił Jan Sendor, lat 19, uczeń III klasy, przewodniczący koła klasowego Z.M.P., jeden z najlepszych w klasie — i historia mojej rodziny to mała historia walk strajkujących robotników na ulicach Krakowa. Dziadek pracował u Zieleniewskiego i podczas strajków brał w nich czynny udział. Ojciec jest kolejarzem. Dwóch braci ojca i dwie siostry Niemcy rozstrzelali 15.I.1945 r., a więc na dwa dni przed wyzwoleniem — za współpracę z Armią Ludową.

Wiem, czym pachnie wojna i fałszywymi; dlatego też chyba nikt z nas, z ucząc się młodzieży nie pragnie wojny. Wiem, że w żadnym innym ustroju nie osiągnąłbym tego, co dała mi Polska Ludowa.

Swoim podpisem pragnę przyczynić się do zniszczenia planów podżegaczy wojennych, a tym samym zapewnienie pokój milionom prostych ludzi.

Maria Potok jest córką gajowego, więzionego w obozie koncentracyjnym, również za współpracę z A.L. w okolicach Nowego Sącza. Ma 19 lat i obecnie kończy gimnazjum. Oto co mówi: „Wszystko, co zostało wzniecone wytrwała pracą milionów robotników, nie może być zburzone z woli jednostek, które w tym widziałyby swoje zyski. My młodzi nie

pozwolimy na to, aby nasza i naszych braci krwią, napawali się panowie z Wall-Street”.

„Przeżywając ostatnią wojnę — mówi Ryszard Grabowski, uczeń III klasy, lat 20, pracujący równocześnie na swoje utrzymanie w krakowskiej wytwórni Nr. 10, członek Z.M.P., przed zjednoczeniem należał do Z.M.W. — miałem możność zapoznania się z jej skutkami. Szczególnie odczułem te skutki na sobie. Podpisując listę pokoju, wiem, że staję się jednym z wielu bojowników o lepsze warunki życia i kształcenia się młodzieży”.

Nasza asystentka w laboratorium, Maria Klich, w ubiegłym roku szkolnym zdała egzamin mając 21 lat. Pochodzenie robotnicze, należała przed zjednoczeniem do Z.M.W., obecnie do Z.M.P. i wie, że „w tej chwili sprawa pokoju jest najważniejszym problemem. Wszystkie nardy, które przeżywały ostatnią pozogę wojenną i największe straty w niej poniosły, wiedzą, ile ofiar ona miała. Wszelkimi siłami dążyć należy do utrzymania pokoju, do ratowania życia ludzkiego i uchronienia pomników kultury. My młode pokolenie do 1939 r. znaliśmy wojnę z historii, ale teraz nawet małe dzieci poznają jej potworność i straszne następstwa. Obecnie (i zawsze) naszym hasłem jest budować, a nie rujnować!”.

Obronimy pokój przy boku Związku Radzieckiego. Wiemy gdzie jest nasze miejsce. Nie damy zniszczyć naszych miast, zakładów naukowych, laboratoriów, szkół itd. Nie chcemy, by na głowy modlących się staruszek leciały bomby, spuszczone w imię dolarowych interesów.

IZABELA CIAPALANKA



Agitatorzy Pokoju w akcji

Jakub Chelemskij

Deputat

Lokal wyborczy nocą światłem gorzał. Segregowano głosy do świtania.

Jeszcze się w szybach nie przejrzała zorza, Jak mistrz murarski wszedł na rusztowania. W ciepłej wiatówce i kombinezonie Po chwiejnych kładkach kroczy i pomostach. Błyski spawania rozświetla mu skronie. Pod zasięg lampek żórawia się dostał. Gdzie pomknął wzrok — dzielnica, za dzielnicą Po kraniec miasta. A wszędzie mógł znaleźć Gmachy, co niegdyś pod jego prawicą Zarosły placów darta i magistratale. Ale on śpieszy, wyżej i przed siebie, Trzymając w ręku serdeczne narzędzie. Wnet ósme piętro wyciągnie na niebie, Tkaninę murów do końca doprzędzie... Więc cegły kładzie szybko z iskrą w oku...

W tej samej chwili treściwy protokół Wielotysięczne „za” wreszcie zsumował, Za

budowniczym, co piął się ku górze, Hartem, biegleścią tysiące przegonił I teraz siły zdwajając w wicherze, Okrąg wyborczy widzi jak na dłoni: Szkoły, świetlice, słoneczne mieszkania, Błiskie, widoczne i błękitno mgliste, Co dzisiaj darzą pełnią zaufania Przodującego w pracy brygadziście... Harował murarz i szedł wyżej stale I widział sztandar wbiły w wicher warkł Nad wielkim zamkiem, na którego sale Wejście z sztandarkiem w kłapie marynarki I tam — gospodarz — stanie na trybunie. Jak dziś na belkach

w moskiewskie przedwiośnie.

Słońce na zenit szło i wnet rozsunie Chmur rusztowanie, prosto i radośnie... Śnieg jeszcze prószy, lecz wkrótce szron spłynie. Podąga naprzód ceglana marszruta.

W wapiennym kurzu i w rudawej glinie Coraz to wyżej wznosi się deputat.

marzec — 1950 r.

przeł. TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Theun de Vries*)

Mój chiński bracie

Mój chiński bracie — Ciężka, mroczna pora roku nadpełzła z górskich szczelin. Rdzawe jest niebo, rdzawa ziemia, rdzawa woda, rdzawy człowiek. Gałązki nie znają kwiatów.

Kiedy ryż wędnie w dłoni, Z błękitu spada ptak. Głód stąpa głuchymi krokami, jak człowiek wędrujący po lodzie.

Więc chwycź za broń.

Mój chiński bracie — Wojna to czerwony koń, któremu wykłuto oczy. Kobiety i dzieci miażdży jego kopyto. Wojna to spalony las bambusowy, zatruta studnia, Z której się pije śmierć.

Więc chwycź za broń.

Kwiat morwy i leśne dzwonki to właśnie pokój, Zielone wyspy towarzyszące nurtom. Przed wieczorem pełne pary wonej i światel. Pokój to czyste krynice dla ludzi śpieszących z oddali, Uczta w gaju tamarand. Dźwięk wiołonczeli i taniec młodych, Spokojne marzenie starców. Miłość bez leku i słodycz, Która każe szeptać wierszom poetów.

Więc chwycź za broń.

I nie wahaj się, ponieważ język ich jest językiem wojny. Każdy strzał — to pokój, każda kula śpiewa: Choć niosę śmierć, to jednak przybliżam pokój. Przynoszę Wam Chiny, szczęśliwe Chiny.

Chwycź za broń, chiński bracie. Ostatnia bitwa wieje w wasze proporce. A ostatni proporzec — to komunizm. Pierwsze zaś słowo komunizmu wie się: Pokój.

z oryg. w oparciu o niemiecki przekład Edith Rost-Blumberg przeł.

T. CHRÓŚCIELEWSKI

*) Wybitny poeta holenderski młodego pokolenia. W latach okupacji jeden z przywódców ruchu oporu, uważany przez krytykę europejską za jedną z najciekawszych indywidualności twórczych ostatnich lat.



Młodzież chłopska w szkole przysposobienia przemysłowego

W podgórskiej wiosce

Mówca przemawia prosto, wtrącając tu i ówdzie góralskie porzekadła. Mówi o wojnie i czy słuchaczy zasypiają się wspomnieniami. Mówi o pracy i chłopci czują w dłoniach ciężar uchwytu pług a gładkość styliska kosy. Nad zastygłą w milczeniu salą wlatuje słowo „pokój” — wypowiedziane głosem spracowanego człowieka i ludzie mimowoli pousną schyłone głowy, jakby spodziewali się ujrzeć pod sufitem trzepocącego gołębia. Głos mówcy tejeje i krzepnie, niby stał na powietrzu, gdy mówi o konieczności walki o pokój, o Sojuszu ze Związkiem Radzieckim, o zwycięstwie Chińskiej Armii Ludowej. Po zakończeniu mowy treść jej parafrazują, żarliwie głosią dzieci:

„Nie chcemy żeby znów krwiał i pomieniem świat cały wojna przeklęta! Więc stannmy bracia ramię przy ramieniu”...

Jest piękne słoneczne popołudnie gdy pierwsza trójka wyrusza w teren dla zbierania podpisów pod sztokholmski apel pokoju. Jan trzyma w ręce listy obłożone w gazecie. Jan pochodzi z Podhala. Jest synem średniorolnego chłopca. Dziś uczy dzieci w wiosce i przygotowuje się do studiowania leśnictwa.

Chodząc od domu do domu, w towarzystwie rozmownego gazdy i milczącej ładnej dziewczyny, Jan dowiaduje się wielu faktów dotyczących etymnej pacyfikacji, która miała miejsce dn. 23 grudnia 1944 r. Słowo — „Pokój” — prawem kontrastu wywołuje w umysłach ludzi krwawe wspomnienia okupacji. W każdej chacie dodają nowy fragment do strasznej opowieści.

— Dwa tygodnie siedzieliśmy z żyną w krzakach — mówi 12-letni Florek, podpisując apel pokoju. — Jeszcze nam się strasznie chciało, ale do wsi nie było jako podejść, bo okrutnie Niemcy strzelali.

Czternastoletnia Józia patrzy z kąta wielkimi, wystraszonymi oczami na gości, siedzących na ławie. — Ona tak już jest bojąco — mówi ojciec. — Od tego czasu jak się



Jarmark w Nowym Targu

JÓZEF KELERA

DROGA JORGE AMADO



Jorge Amado
(foto API)

Trzy książki Jorge Amado wydane w tłumaczeniu polskim* umożliwiają podjęcie próby szerszego spojrzenia na twórczość wybitnego pisarza współczesnej Brazylii. Amado — komunista, Amado-pisarz i działacz rewolucyjny, Amado — obrońca pokoju i bojownik postępu nie znajduje dziś miejsca w swej ojczyźnie, rządzonej przez parasfazystowską klikę slugusów Wall-Street. Tym bardziej cenny musi być dla nas dorobek artystyczny niezłomnego wygnanca, poświęcony w całości pracującym ludowi Brazylii i przepełniony niezwykle głębokim uczuciem dla człowieka pracy, dla krzywdzonego i wyzyskiwanego proletariatu. Nie tusząc błądów i braków postaramy się więc zanalizować udośćpnie czytelnikowi polskiemu cztery utwory Amado (cztery, bo książka „Świt Brazylii” zawiera dwa szkie powieściowe: „Kakao” i „Pot”).

W poniższym omówieniu pozwolono sobie na niewinny eksperyment. Trzy pierwsze z omawianych utworów (bez „Rycerza Nadziei”) były przed kilku miesiącami przedmiotem ciekawej recenzji Jana Józefa Lipskiego („Odrodzenie” 50, nr 9). Obok wielu trafnych spostrzeżeń recenzja zawierała kilka sądów nieprzymierzalnych, a nawet zgoda bezpodstawnych i dezorientujących. Spróbujemy więc omawiać utwory Amado, nawiązując do rozważań Lipskiego i prostując w miarę możliwości jego błędy. Mamy nadzieję, że ta — w intencji piszącego jak najbardziej rzeczowa polemika, ułatwi sformułowanie słuszych wniosków.

Recenzent „Odrodzenia” zauważył niewątpliwie trafnie, że „Ziemia krwi i przemocy”, „Kakao” i „Pot” to „Trzy rozdziały z dzieł Brazylii” (tytuł recenzji). Nas przecież obchodzi nie tyle sama historia Brazylii, ile twórczość Jorge Amado — i jej właśnie chronologia musi być podstawą rozważań, tym bardziej, że z braku ustalenia chronologii twórczej wyniki pośrednio zasądzenia mocno dezorientują czytelnika błąd recenzenta „Odrodzenia”. Zaczniemy tedy od chronologii:

„Kakao” było pisane w latach 1932-3; „Pot” pochodzi z tego samego okresu — ukończony został w r. 1934. „Ziemia krwi i przemocy” powstała w r. 1942, a więc w osiem lat z górą po opowieściach, składających się na tom „Świt Brazylii”. Stwierdzenie to będzie miało znaczenie zasadnicze dla dalszych rozważań.

„Kakao” jest opowieścią o niewolniczej pracy najemnej i wyzysku na plantacjach kakaowych. Obok wyzysku jako problem naczelny wyrasta powolne budzenie się klasowej świadomości wyzyskiwanych. Problematyka tak bogata i wdzięczna dla proletariackiego pisarza (którym pragnie być Amado) nie została niestety dostatecznie wykorzystana wskutek błędnych ideowo — artystycznych założeń.

„Starłem się w tej książce o możliwie wierne oddanie życia robotników na plantacjach kakao w południowej Bahii, często nie zważając na formę literacką” — pisał Amado w przedmowie. Oczywiście z miejsca stwierdzamy smutne nieporozumienie, dotyczące zarówno stosunku tej tzw. „wierności” do „formy literackiej”, jak i pojmowania samej „wierności” w utworze literackim. Nie wierzymy jednak autorowi na słowo, nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do jego deklaracji — przyjrzyjmy się samemu owocowi pracy pisarza.

Jako zamierzony „wierny obraz życia” „Kakao” ma charakter niemal monograficzny. Nie jest przypadkiem, że kolejne rozdziały noszą tytuły niejako problemowe: w każdym została przedstawiona, czy nawet tylko omówiona pewna strona życia, a więc praca, wyzysk, rozrywka, dzieci, religia, prostytucja — wszystko zresztą ujęte prawidłowo jako funkcja i skutek panujących stosunków społecznych.

lecznych (związki te bywają miejscami wydobyte bardzo subtelnie), ale wszystko — osobno.

Całość włożona została w usta głównego bohatera — narratora. Jest to postać o niezbyt przejrzystym rysunku: proletariusz w pierwszym pokoleniu, pochodzący ze zrujnowanej rodziny mieszczańskiej, pracując dwa lata na plantacji żył z nimi do czasu, gdy zaczął się z nimi towarzyszyć. Po romansie z córką plantatora wyjeżdża do stolicy, gdzie później, już jako drukarz, ma rzekomo napisać „Kakao”.

Jaki jest cel tej literackiej mityfikacji?

Amado stara się pozyskać nieograniczone zaufanie czytelnika, aby tym korzystniejszym dyskontować ideowo swój „wierny obraz” wyzysku, nędzy i gwałtu; dąży więc do maksymalnego autentyzmu. Autentyzm jest tu kluczem magicznym do rozszyfrowania utworu. Autentyzm jest podstawowym założeniem twórczym, któremu podporządkowane zostały wszystkie środki artystyczne. Sługa autentyzmu będzie więc oczywiście narracją w pierwszej osobie; te same rolę odgrywa mityfikacja „wspomnień drukarza” i forma stylizowana w całości na „zanotowanie” szeregu epizodów.

Wróćmy jeszcze na chwilę do sprawy bohatera i jego romansu. W wyborze i konstrukcji postaci głównego bohatera tkwi niewątpliwie jakaś łatwizna, która w sposób jasny odbija się na niedoskonalości utworu. Niesposób też zaprzeczyć, że konflikty klasowe w formie zastrzeżonej zostały wszystkie ubrane w kształt konfliktów erotycznych.

Stosunki społeczne pokazane w „Kakao” stoją pod znakiem przynależności do przynależności wyzyskiwacza — plantatorów i zupełnej zależności wyzyskiwanych. Klasowej proletariackiej solidarności i klasowej nienawiści uczy tu każdy dzień zabójczej harówki i każdy gwałt plantatora. Do zorganizowania otwartej walki stosunki jednak nie dojrzały; myśl o zorganizowaniu strajku, podjęta przez grupę produkujących robotników, zostaje w zaraniu sparaliżowana wiadomością o przybyciu rzeszy żądnych pracy uchodźców z terenów nawiedzonych klęską suszy. Konflikty erotyczne nie zastępują tu więc i nie tuszą konfliktów klasowych, ale je w pewnym sensie personifikują. Nie przyznając wcale wartości najwyższych, takiej metodzie „literackiego” widzenia, trzeba przecież dostrzec jej istotną funkcję w konkretnie omawianym wypadku. Trzeba np. zwrócić uwagę na charakter wyraźnej kontrastowości poszczególnych erotycznych konfliktów. Romans głównego bohatera z Anną Teles jest przeciwstawieniem w stosunku do gwałtów, dokonywanych przez jej brata na robotnicach: upokorzenie dziedziczki, wzgardzonej przez fornalę, stanowi mimo wszystko akcent końcowy wcale znamienny.

„Kakao” pisane jest żywo i sugestywnie. Poszczególne sceny bywają artystycznie silnie przekonujące. Całość niestety monograficznie — chaotyczna, pozbawiona niemal wizerunku konsekwentnej, stanowi produkt wspomnianego nieporozumienia na temat autentyzmu „wierności”.

W porównaniu z „Kakao” — „Pot” stanowi krok naprzód w doskonaleniu rzemiosła literackiego Amado. Znika więc w pierwszym rzędzie prymitywizm i powierzchniowy autentyzm; wzrasta element żywej akcji. Całość nabiera kolorów. Obok tego jednak — w formie przeważnie przekształconej i dojrzałszej — obserwujemy szereg tych samych cech, które stwierdziliśmy w „Kakao”.

Bohaterem „Potu” jest właściwie zbiorowość: sześciuset mieszkanców wielkiej kamienicy w Zaulku Peregierzy, w najuboższej dzielnicy dużego portowego miasta Bahia. Ten ogromny tłum robotników i praczek, wódców, wykołajców i prostytutek, podupadłych artystów, anachistów i rewolucjonistów — zindywidualizowany i zrośniętym, pulsuje życiem. Amado pragnie tu znów pokazać jak ów wielki zbiorowy bohater budzi się i dojrza do proletariackiej świadomości klasowej; i znów, niestety, zasadnicza koncepcja ideowa, wyznaczająca akcję spójną, zdyscyplinowaną i konsekwentnie podporządkowaną sobie całość — atomizuje się i rozplywa w szeregu luźnych obrazów i opowiadań o mieszkańcach domu. Znowu obserwujemy tendencję monograficzną.

Obok tego galeria typów — feerycznie barwna i kunsztowna, psychologicznie głęboka, ale z głównym nurtem akcji związana bardzo słabo, czasem prawie wcale; epinajująca w najlepszym wypadku funkcję jakiejś indywidualizacji tłumy. Autor zresztą w pewnym stopniu zdaje sobie z tego sprawę: jeden z rozdziałów zatytułowany jest po prostu „Panoptikum”. W istocie — ten niezmiernie ciekawy szkic powieściowy w znacznej części sprawia wrażenie jeśli nie panoptikum, to albumu żywych fotografii o zacięciu monograficznym.

To rozbudowane niemal jak do epepe — w nim wazutki i nikiły, anemiczny strumyczek akcji głównego wątku. Młoda inteligentka Linda, pozbawiona nagle pomocy

spiralizowanej opiekunki, starej krawcowej — w walce z życiem nabiera hartu i przechodzi ewolucję: od marzącej o zamążpójściu do rewolucyjnej działaczki. Ideowym katalizatorem życiowych doświadczeń, tak dla Lindy, jak i dla całej kamienicy, jest nieliczna, kilkucosobowa grupa świadomych proletariuszy i rewolucjonistów. Praca tej rewolucyjnej komórki ginie całkowicie w natłoku żywych fotografii i scen obyczajowych. Właściwie wiemy o niej tylko tyle, że istnieje; poza tym znamy kilka osobnych „fotografii” jej członków. Sprawa nieudanego strajku tramwajarzy, przygotowywanego przez komórkę, zostaje zreakcionowana w kilku wierszach, stylem telegraficznym.

W rezultacie ewolucja rozłożonego na atomy głównego bohatera — kamienicy wychodzi niezupełnie przekonująco. Nie została w tym procesie dostatecznie uwidoczniła rola rewolucyjnej komórki. Akcent przesuwają się raczej na instynkt klasowy, dzięki któremu po klótni z gospodarzem gromada ludzi, których przedtem łączyły tylko wspólne schody — staje się sece mentowaną zbiorowością, a w świetnej scenie końcowej demonstracji, tłum ruszył na żołnierzy wyrażając podniesionymi pięściami.

Przeprowadzony rozbiór mówi wiele o metodzie twórczej autora „Potu”. Jeśli jeszcze dodamy świadomości autentyzmu i biologizm, czasem nawet symptomy ekspresjonizmu — z tego tygla „izmów” wyłoni się oczywiście... naturalizm. Będziemy więc w zgodzie z J. J. Lipskim, powtarzającym uparcie: „Jesteśmy na gruncie naturalizmu”. W istocie — o ile już mowa o naturalizmie w twórczości Amado, to na pewno najwięcej jego elementów znajdziemy w „Pocie”.

Podsumowując swe uwagi o „Pocie” pisze nasz kolega recenzent: „Teraz rozumiemy, dlaczego o d „Ziemi krwi i przemocy” wciąż n a r a s t a (podkreślenie moje — J. K.) ilościowo tematyka filozofii seksualnej... Jesteśmy na gruncie naturalizmu”. Uważany czytelnik spostrzeże od razu, że pierwsze z przytoczonych zdań (z podkreśleniami) jest przede wszystkim nonsensem rzeczowym; jakże może „tematyka filozofii seksualnej” n a r a s t a ć o d „Ziemi krwi i przemocy”, skoro powieść ta została napisana w osiem z górą lat później niż „Pot”.

a w całe dziesięć lat po „Kakao”. Jedynym tłumaczeniem Lipskiego mogłaby być chyba chronologia jego lektury, ale to dla nas, niestety, kryterium stanowczo zbyt subiektywne.

— Czy szczegół ten aż tak ważny? — Bardzo nam przykro, ale tak jest. W wyniku nieco może humerystycznego niedopatrzania recenzent „Odrodzenia” skomponował z gruntu błędną koncepcję literackiej drogi Amado, sugerując „rozwoj” pisarza w kierunku „konsekwentnego artystyczności” naturalizmu, gdy w rzeczywistości proces ten odbywał się w kierunku wprost przeciwnym: od naturalizmu do realizmu.

W powieści „Ziemia krwi i przemocy” jesteśmy w południowej części prowincji Bahia — tej samej, co w poprzednich dwu opowieściach, tym razem w końcu ubiegłego wieku. Wielka dziewczyna puszcza, Sequeiro Grande — dotąd nieczyta, po wykarczowaniu nadaje się wspaniale pod i antycję kakao. O puszcze toczy się upórczywa i krwawa walka między najmłodszymi plantatorami okolicy: rodem Baderó i pułkownikiem Horacym da Silveira. Walka ta w istocie przypomina bardzo wojnę średnio-wiecznych baronów, bo też stosunki są jeszcze mocno feudalne. Walczące strony najeżdżają się wzajemnie z drużynami przybocznych zbiorów, pała, grabią i mordują z zasadzki. Wszyscy pomniejsi plantatorzy odgrywiają rolę wasali; cała pała kraju dzieli się na dwa przeciwnie obozy. Przemoc, gwałt i bezprawie królują bezkarnie.

Nie dajmy się przecież zasugerować rekwizytami feudalizmu. Lokalne „feudalizm” pół kakaowych Ilheus jest wyjątkowo mocno osadzony w kontekście epoki imperializmu i praw rządzących światem kapitalistycznym. To nie tylko wzmianki o amerykańskich rynekach zbytu i konkurencji kakao angielskiego — wszystko co się dzieje nosi piętno imperializmu. Adwokaci, sądy, partie polityczne, prasa, policja, instytucje miejskie, komunikacyjne i religijne, banki — wszystko znajduje się na usługach jednej lub drugiej z walczących stron. W ten sposób walka, która w warunkach lokalnych — w terenie, przybiera formy feudalne, jest niczym innym jak rozprawą dwóch konkurencyjnych trustów. Zwycięża też w końcu — zgodnie z niezłomnym prawem imperializmu —

strona rozporządzająca większym potencjałem finansowym.

Wydobycie i unaocznienie wszystkich tych związków i procesów, wychwycenie zależności i głębiej ukrytych sprężyn ludzkiego działania; przetworzenie tego materiału w spójną całość artystyczną, ukazującą w kształcie obrazowym dialektyczną wizję rzeczywistości — to wszystko daje w rezultacie dzieło realizmu wysokiej klasy. Na taką rangę „Ziemia krwi i przemocy” uczciwie zasługuje.

Nie znaczy to oczywiście, że powieść nie ma braków. Raza przed wszystkim dłuższy psychologiczny. Dziwi nieco stylizowana sugestia jakiegoś „fatalizmu” ziem „kakao”. Nie wszędzie jeszcze autor poddał się całkowicie rygorowi dyscypliny kompozycyjnej — pewne epizody mają charakter dość luźny, wybitnie liryczny. Wkraczamy tu właściwie w nowy zakres problematyki, któremu nieco miejsca poświęcimy omawiając „Rycerza Nadziei”. Wyprzedzając te uwagi można już tu sformułować przypuszczenie, że Amado świadomie nawiązuje do form ludowej poezji.

Bogata wielowarstwowość „Ziemi krwi i przemocy” nie ma nic wspólnego z chaosem kompozycyjnym i prostolinijną monograficznością poprzednich opowieści. Tutaj nareszcie uzyskujemy piękną pełnię artystyczną, w której wszystkie środki konsekwentnie zmierzają do jednego celu: realistycznej wizji świata. Cel ten został osiągnięty.

„Rycerz Nadziei” wymaga zupełnie osobnego rozpatrzenia, dlatego przed wszystkim, że mamy tu do czynienia ze zgoda odrębnym rodzajem literackim. — Jakim? — Zdaje się, że niełatwo będzie znaleźć dlań nazwę, może nawet wcale jej dotąd nie ma.

— Powieść biograficzna? — Zapewne, ale jakaś inna, nie zwyczajna; nowy swolsty i w znacznej mierze oryginalny gatunek tego, co zwykle się nazywa powieścią biograficzną.

Luis Carlos Prestes, bohaterki przywódcą ludu i kierownik Komunistycznej Brazylii, były członkiem Komitetu Wykonawczego III Międzynarodówki, obecnie — podobnie jak Pablo Neruda i tytuł innych bohaterów postępu Ameryki Południowej — ukrywa się w jakimś zakątku swego ogromnego kraju i kieruje walką rewolucyjną

ludu brazylijskiego. W r. 1941, kiedy Amado pisał „Rycerza Nadziei”, Prestes od lat sześciu siedział w więzieniu brazylijskim. Powieść, czy raczej opowieść o „rycerzu nadziei”, miała być jedyną z głosów potężnej fali protestacyjnej przeciwko dalszemu więzieniu wielkiego rewolucjonisty — fali, jaka się wówczas szeroko rozprzestrzeniła.

Życie wielkiego przywódcy mas ludowych, poświęcone w całości walce o ich wyzwolenie, nie da się wyobrazić w oderwaniu od tych mas; jego walka, jego trud, jego smutki i radości stają się zrozumiałe, stają się wzniosłe i piękne, przede wszystkim na tle walki i trudu tych milionów, których dążenia wiecila i którym przewodzi, ale bez których sam byłby nikły i beznisny. „Rycerz Nadziei” jako opowieść o wielkim przywódcy mas ludowych mówi w istocie o milionach, które on reprezentuje. Życie Prestesa w książce Amado jest jednocześnie historią Brazylii i jej ludu, nie przestając być opowieścią o wielkim człowieku — i to właśnie stanowi najwzruszający walor „Rycerza Nadziei”.

Opowieść o życiu postaci historycznej w samym założeniu posiada pewne pierwiastki wspólne z epiką ludową, toteż lekkie ustylizowanie jej pod tym kątem widzenia w pewnych wypadkach może dać rezultaty nadspodziewane. Szczególnie cenna może się okazać taka forma artystycznej wypowiedzi, jeśli chodzi o postać wzniosłą i bohaterką, zasługującą na ujęcie nawet z lekką apologetyką; jeśli jest to bohater ludowy i jeśli dzieje jego splecione są z życiem i walką ludu. Po tej linii kształtowania swojej opowieści poszedł właśnie Amado w „Rycerzu Nadziei”, dążąc do uzyskania formy najbardziej adekwatnej dla treści, które pragnął wyrazić.

Całą historię autor niby opowiada swojej czarnej przyjaciółce, raz po raz zwracając się do niej bezpośrednio. W ten sposób powstaje głęboko nastrojowy i liryczny wstęp, w istocie, przypominający ludową romanse i w niej wzorowany. Dzięki temu w odpowiednich momentach potrafi Amado osiągnąć niezafalszowany, czysto brzmiały patos.

Szeroko zakreślone tło dzieł Brazylii ostatnich dziesięciu lat wprowadza miejscami także i element publicystyczny, doskonale zharmonizowany i współgrający w całości (Dokończenie na str. 5)

JERZY BIELAK

R Y C E R Z



Luis-Carlos Prestes w drodze do więzienia

W przeciwieństwie do innych krajów Ameryki Południowej, które, jak Kolumbia, Wenezuela, Paragwaj czy Ekwador, są dla nas zwykłymi terminami geograficznymi, Brazylia jest czymś bliskim i swojskim. Na to uczucie swojskości w stosunku do kraju, większość pod względem obszaru od St. Zjednoczonych, składa się wiele czynników, pomiędzy którymi niewątpliwie pierwsze miejsce zajmuje zwycięska walka chłopów polskiego z puszcza brazylijską.

Wysiłkiem i ciężką pracą naszych emigrantów duże połacie Parany, Santa Cathariny i Rio Grande do Sul zostały wydarte dżungli brazylijskiej i zdobyte dla rolnictwa i cywilizacji.

Proz rolników dostarczały Brazylii również pierwszorzędnych inżynierów, po których pozostał ślad w postaci nazw stacji na liniach kolejowych przez nich budowanych (np. stacja Brodowski w stanie San Paulo). Jeden zaś z tych inżynierów, wywodzący się z rodziny, która w osobie Dominika Rymkiewicza dostarczyła pierwszemu „Proletariatowi” jednego z bohaterów socjalizmu i współtowarzysz w walk Waryjskiego i Rechiniewskiego, zabłysnął wysoko na firmamencie brazylijskim. W początkach bieżącego stulecia nazwisko Polaka Rymkiewicza

zdołało dużą popularność nie tylko w mieście i stanie San Paulo, ale i w Manaus stolicy stanu Amazonas, położonego nad środkowym biegiem Amazonki.

W żadnym z krajów Ameryki Południowej ruch robotniczy nie osiągnął takich rozmiarów i napięcia, jak w Brazylii, i żaden z tych krajów nie wydał postaci politycznej na miarę Luis'a Carlos'a Prestesa, będącego jednocześnie dobrym inżynierem, wspaniałym dowódcą wojskowym i uznanym wodzem politycznym całej lewicy brazylijskiej.

W marcu 1935 r. powstaje w Rio de Janeiro Aliança Nacional Libertadora (Zjednoczenie Wyzwolenia Narodowego) z Prestesem, jako prezesem honorowym, na czele, które w ciągu pięciu miesięcy swojego legalnego istnienia zgromadziło pod swoim sztandarem przeszło 1.500.000 członków na ogólną liczbę 45.000.000 mieszkańców kraju.

W swoim manifestie A N L głosiło unieważnienie długów zagranicznych, przekazanie latyfundiów ludzkiej pracy, upaństwowienie przedsiębiorstw kapitalistycznych, anulowanie długów rolniczych, podniesienie zarobków robotniczych, rozbudowę ubezpieczeń społecznych, uprzedmiotowienie Brazylii i szereg innych postulatów, mających na celu podniesienie stopy życiowej i stanu zdrowotnego szerokich mas ludowych oraz polepszenie warunków pracy klasy robotniczej.

Fale nieznanego dotychczas entuzjazmu ogarniały naród brazylijski z wyjątkiem, oczywiście, warstw uprzywilejowanych i ich slug. W ciągu kilku dni w samej tylko stolicy wstępnie do nowej organizacji 150 tysięcy członków a w najbardziej przemysłowym mieście Brazylii — San Paulo, liczącym około 1.800.000 mieszkańców, A N L staje się dominującą siłą polityczną. Nawet w siedzibie leninistów dyplomatów zagranicznych — Petropolis pod Rio de Janeiro, zgłosiło się od razu 2.500 członków. We wszystkich miastach bramy triumfalne witają delegacje ANL. Literaci, pisarze, artyści, uczeni wypowiadają się za ANL. Szereg dzienników i pism periodycznych z najbardziej poczytnym dziennikiem stołecznym „A Manhã” na czele głosi hasła ANL.

Manifesty Prestesa, ogłoszone na historycznych wiecach w dniach 13 maja i 5 lipca, nadają jeszcze więcej dynamizmu żywiołowemu ruchowi mas ludu brazylijskiego i szerzą wiarę w lepszą przyszłość.

Na wiecu w dniu 5 lipca Prestes między innymi ogłosił:

— Anulowanie długów zagranicznych i odrzucenie wszelkich zagranicznych roszczeń finansowych; wypowiedzenie imperialistom umów, godzących w interes narodu; upa-

stwienie najważniejszych przedsiębiorstw użyteczności publicznej oraz przedsiębiorstw, będących własnością imperialistów.

— Ośmiodziesięć godzin pracy; zwiększenie zarobków; ubezpieczenia społeczne; emerytury.

— Walkę przeciw systemowi niewolnictwa i feudalizmu w pracy; rozdzielenie ziemi pomiędzy ludność ubogą, chłopów i robotników.

— Rozszerzenie wolności ludu; całkowitą likwidację wszelkich różnic lub przywilejów rasowych i narodowościowych; przeciwstawienie się wszelkim imperialistycznym wojnom i ścisłą łączność z ruchami wolnościowymi innych krajów Ameryki Łacińskiej oraz z wszystkimi uciśkany ludami świata.

Na zakończenie wiecu Prestes oświadczył:

— Cała władza musi być skupiona w ANL, na co pada odpowiedź zgromadzonego ludu:

— Z Prestesem na czele.

Idea narodowego rządu rewolucyjnego unosiła się w powietrzu, jeszcze parę miesięcy wolności i rząd Prestesa stały się faktem. Do tego reakcja nie mogła dopuścić i oto dekretem z dn. 11 lipca 1935 r. rząd Getulio Vargas'a rozwiązuje ANL i zakazuje Zjednoczeniu Wyzwolenia Narodowego wszelkiej dalszej działalności.

Ruch ludowy schodzi w podziemie a bieg wypadków zaczyna prowadzić do rychłego wybuchu, który następuje w listopadzie tego 1935 r.

Luis Carlos Prestes, urodzony w Porto Alegre, stolicy stanu Rio Grande do Sul, studiował w szkole wojskowej w Rio de Janeiro i ukończył ją w 1920 r. w stopniu porucznika saperów. Była to niezwykła szkoła. W przeciwieństwie do innych brazylijskich wyższych uczelni, uniwersytetów i liceów, do których nie docierały głosy pokrzywdzonych, szkoła wojskowa jeszcze za czasów cesarstwa stała się głównym rozpadnikiem idei postępu i demokracji. Wychowankowie tej szkoły przeprowadzili zwycięską walkę o zniesienie niewolnictwa a podchorążowie szkoły pod dowództwem swojego profesora pułkownika Beniamina Constanta Botelho de Magalhães w pamiętny dzień 15 listopada 1889 r. obalili monarchię i ogłosili republikę.

Dnia 5 lipca 1922 r. młodzi oficerowie, wyszli ze szkoły wojskowej, ogłosili powstanie. Ciężko chory Prestes nie może wziąć udziału w walce, w której 17-tu poruczników i jedna osoba cywilna wypisali swo-

JAN BŁOŃSKI

TRZY OBLCZA ZBRODNI

Waga tematyki okupacyjnej nie ulega wątpliwości ani dla pisarzy, ani dla rzeszy czytelników. Odzywały się wprawdzie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, domagające się — choćby czasowego — oderwania literatury od „czasów pogardy”, czy to w imię „uspokojenia i oddechności czytelnika”, czy też dla uszczerbku na przed „czadem” lat okupacyjnych. Głosy te pozostały jednak — na szczęście — głosami odosobnionymi, i dziś znaczenie tematyki wojennej uznawane jest chyba przez wszystkich, nie kłócąc się bynajmniej z zamowieniem społecznym doby najnowszej. Literatura postępuje w wielu wypadkach wolniej niż bieżący czas, ma do odrobienia, do odnotowania i osadzenia tereny, na które w naszym codziennym życiu coraz się rzadziej zapuszczamy.

Przetopienie w kształt artystyczny lat największego ponizienia i największego bohaterstwa jest oczywiście dla pisarzy swego rodzaju obowiązkiem moralnym: literatura, która ma ambicję towarzyszenia życiu społeczeństwa, nie może oczywiście rezygnować z próby artystycznego opanowania czasów, pozostawiających w życiu tego społeczeństwa niezatarte ślady, tym bardziej, że w czasach tych tkwią niejednokrotnie zarodki współczesności, ukryte źródła, z których niepostrzeżenie popłynęła po wojnie wielka już rzeka przemian społecznych i politycznych. W czasie okupacji powstała i rozwinięła się produkująca partia polskiego proletariatu, PPR. Jej deklaracja programowa wyraźnie odciała dwa podziemne obozy, walczące o dwie różne Polski powojenne. „Kierowniczą rolą PPR określa klasowy charakter walki z okupantem. Równoległe z walką przeciwko okupantowi toczyła się ostra walka klasowa pomiędzy masami pracującymi miast i wsi, a zwolennikami odrodzenia Polski przedwrzesniowej” — pisał prezydent Bierut. Zasiły daleko idące zmiany na wsi, aura walki podziemnej obciążała młode pokolenie ciężkim spadkiem wojny. Tak więc lata okupacji są nam właściwie bliższe, niżby się na pozór zdawało; rzetelny pisarz podejmując współczesną problematykę, nie może pominąć w swoim obrazie skutków i pogosów lat 1939—45.

Częściej niż się zdaje, one właśnie układały postępowanie powojennego obywatela, nieprawie

i często przypadkowe koleje ludzkiego wojennego losu, odbijały się jeszcze wiele lat później w życiu społeczeństwa.

Rachunki literatury z latami okupacyjnymi dalekie są więc jeszcze od ukończenia. Wprawdzie książki o tematyce wojennej zapamiętałyby chyba większość półek biblioteki, poświęconej produkcji wydawniczej ostatniego pięćdziesięciu lat, jednak — na to zgadzają się wszyscy — do syntezy daleko. Postaramy się więc w najwięcej skrócie objąć dotychczasowy dorobek prozatorski o tej tematyce, wysłuchiwać zasze w nim w ciągu ostatnich lat przekształcenia, wreszcie — wyznaczyć kierunek rozwoju. Wydaje się bowiem, że tematyka okupacyjna dochodzi do pewnego zakrętu, okres partyzantki literackiej na tym terenie wydaje się być skończony, dojrzewanie zaś ideologiczne znakomitej większości naszych pisarzy każe nam spodziewać się od ich twórczości nowych i decydujących akcentów. Ale wróćmy do lat, następujących bezpośrednio po wojnie.

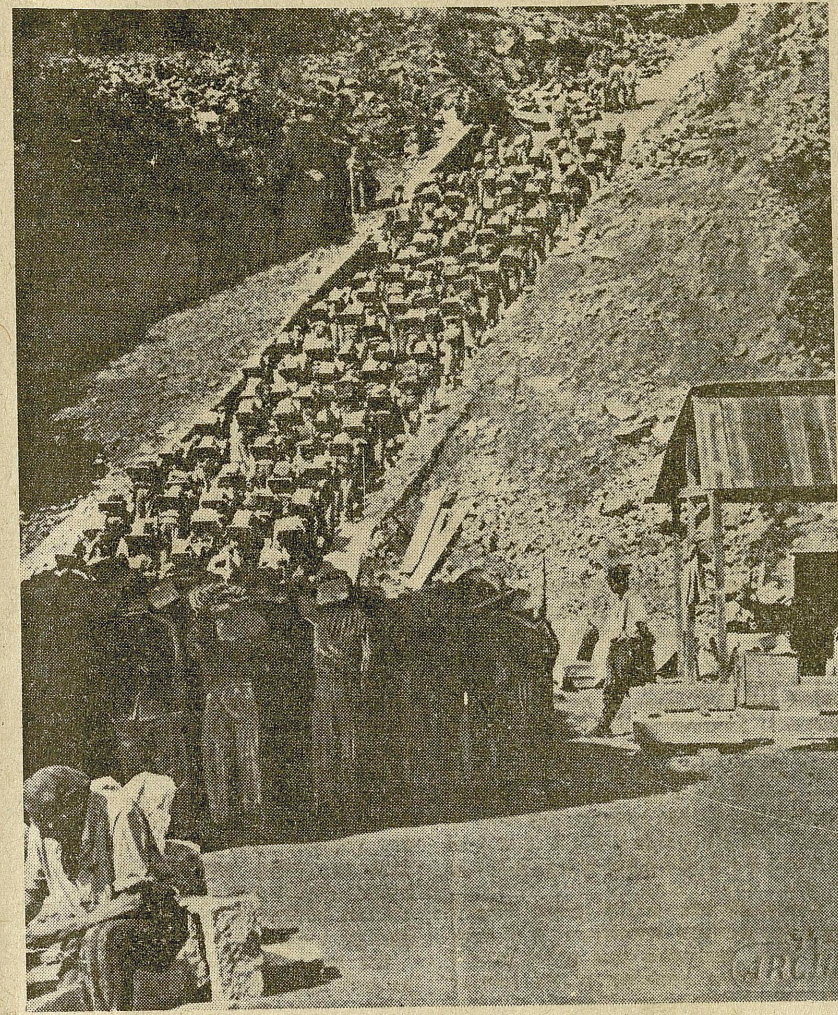
Na początku był reportaż. Pisząc to słowo, nie mam na myśli wyłącznie stosów ogłoszonych po wojnie pamiętników, opisów, czy reportażów w właściwym tego słowa znaczeniu, nie ograniczam go do książek, w których forma powieści — była jedynie przezroczystą zastoną, poza którą łatwo dostrzegaliśmy autentyczne opisy i obrazy lat walki, do książek, beletryzowanych tylko nieznacznie, jak „Dym nad Birkenau” — Szmajlewskiej. Nawet wykończone artystycznie powieści posiadały „reportażowy” charakter. Bo pierwszą reakcją pisarza, szczególnie pisarza debiutującego dopiero po wojnie, była chęć z a n o t o w a n i a lat grozy wojennych, ocalenia z ludzkiej niepamięci faktów najbardziej przerażających, najbardziej obcych naszemu dotychczasowemu doświadczeniu, faktów i reakcji nie koniecznie najbardziej typowych, raczej — najbardziej nowych i zaskakujących. Tak więc pierwsza powojenna fala powieściowa ograniczała się na ogół do łapczywego opisu, do zagarnięcia możliwie wielkiej ilości faktów. Oczywiście ten opis nie był beznamytnym, samym doborem faktów wydawał na okupanta wyrok bezwzględnej potępienia, ale nie starał się lat wojennych, w y t ł u m a c z y ć, nie wchodził w ukry-

te sprężyny ludzkiego postępowania, notował sprawy najpowszeźniej odczuwane, ale nie zawsze najważniejsze, nastawiony był więc nie na problem, a na opis. Stąd martyrologiczny akcent wielu książek tego typu, poszukiwanie — ostatecznego „dna” makabry, co znalazło tak wstrząsające odbicie w opowiadaniach lagrowych Borowskiego; stąd brak dystansu do lat wojennych, nieumiejętność dokonania rozróżnień politycznych, akceptowanie całej przeszłości okupacyjnej bez uprzedniego rozszyfrowania skomplikowanej walki politycznej, jaka się wówczas toczyła. Rozpaczliwa chęć wyowiedzenia „całej prawdy” o życiu okupacyjnym gubiła się w chaosie opisywanych zbrodni, w skrupulatnych monografiach ludzkiego upadku i strachu, kończyła się zaś jakże często bezradnym opuszczeniem rąk. „Co oni z nami zrobili?” — zamykające „Kratę” — Gojawiczyńskiej pytanie mogłoby stać się mottem niejednej powieści tego rodzaju. Łączyło się to niewątpliwie z częstym niezdaniem i rozbieżnym ideologicznym pisarzy, albo też z mechanicznym przeniesieniem wyznawanych przed wojną ideologii artystycznych w trudne lata okupacji i Polski Ludowej. Załamanie rąk było najczęściej skutkiem klęski krótkowzrocznego humanitaryzmu, przed falą nonsensu i krzywdy niektórzy odwoływali się do religii, niekiedy w formach kompromitujących płytkich i banalnych. Surowa, humanistyczna i artystycznie udokumentowana postawa Szmajlewskiej, należała raczej do wyjątków. Podkreślał słowa: „artystycznie udokumentowana” — bo wielu pisarzy latało wówczas nieumiejętności pokazania sensu i celu walki na żywych bohaterach retoryczną deklaracją, optymistycznymi deklaracjami i niewątpliwie zresztą szczerzym patosem.

Jednocześnie z falą mniej lub więcej beletryzowanego „reportażu” zaczęły się ukazywać książki innego gatunku; nazwijmy je dla ułatwienia książkami problematyki moralnej. Kazimierz Koźniewski, zastanawiając się w „Twórczości” (Nr 3—50) nad przewagą formy opowiadania w książkach o tematyce wojennej, przypisuje brak literackich syntez tego czasu nadmierne rozwinięciu poczucia odpowiedzialności pisarzy. Sądzą, że przyczyna jest prosta: forma opowiadania była formą najwła-

ściwszą dla twórców, w których centrum zainteresowania stał pewien casus moralno-psychologiczny, na którym można było zbadać zagadnienie słabości w walce, upadku, zdrady towarzyszy, poświęcenia czy ekspiacji za innych, zachowania własnej godności, dobrego imienia itd. itd. „Noc” An-

ksalnie. Znajdziemy tam przecież „współpracowników „Kuznicy” z filarami „Tygodnika Powszeźnego”, ludzi o bardzo różnych postawach światopoglądowych (zaznaczą, że chodzi mi o ówczesną geografie światopoglądową pisarzy, tak np. Andrzejewski był w owym czasie dość jeszcze daleki od mar-



Więźniowie w kamieniołomach obozu koncentracyjnego Mauthausen. Originalne zdjęcie z archiwum SS.

drzejewskiego, obydwa tomy Rudnickiego „Śmierć liberała” Sandaury, częściowo „Z kraju mileciana” Żukrowskiego i parę innych jeszcze książek — to głównie przedstawiciele „okresu moralistów”.

Dokonane przeze mnie powyżej zestawienie utworów bardzo rozmaitych autorów wygląda na pierwszy rzut oka dość parado-

ksizmu). Ale niewątpliwie istniała jakaś wspólna więź, łącząca wymienionych pisarzy. Kiedyś Dobraczyński usiłował podciągnąć Andrzejewskiego, Borowskiego, czy Rudnickiego pod miano pisarzy katolickich, czy katolickim bliższych, i to było oczywiście zamierzeniem absurdalnym i wprost niepoważnym. Ale Dobraczyński pewną wspólność między tymi pisarzami wyczuł, tyle, że ją śmiešno nazwał. Pisarze ci budowali swoją etykę z najsłabszych tradycji moralnych historii, często niezależnie od warunków społecznych opisywanej epoki, przykładali do nich na ogół miary ogólnikowe, mieszczańskiego humanizmu, w którym pojęcie wiarośności, honoru, odwagi czy cnoty nabierały pewnych cech ogólnomoralnych, wspólnych dla wszystkich ludzi wszystkich czasów. I dalej, co jest bardzo charakterystyczne, ustawiali tak problematykę swych utworów, że najistotniejsze sprawy rozgrywały się zawsze prawie w kręgu ludzkiej samotności, że los poszczególnego człowieka był w ostatecznym rachunku głównym bohaterem dzieła. Oczywiście, trzeba tu podkreślić słowa „na ogół” i „prawie zawsze”, bo w tomach Sandaury szczególnie i Rudnickiego widać było dążenie do „ukonkretnienia” i „uhistorycznienia” sytuacji moralnych. W sumie — krytycy różnych obozów ideologicznych spotykali się często w pozytywnym osadzie tych książek, tym bardziej, że ich wspólna — bardzo zresztą szeroka — platforma stanowiła antyfasyzm, uznawano wówczas dość powszeźnie za wystarczającą legitymację ideową.

Literatura tego typu była więc z natury swojej daleka od syntezy, tym bardziej, że właściwy jej był często liryczny stosunek do bohatera, aktywne współuczestniczenie w jego losie. Nawet kiedy Rudnicki starał się rozwiązać pewne zagadnienia w szerzej płaszczyźnie, to czynił to drogą symboliczną i lirycznego skrótu. Podobnie działał podskórny liryzm Andrzejewskiego, groźna nocna sceneria opisywanych faktów.

Od roku 1948 obserwujemy pewien kryzys wydawniczy, literacki przednówek, przerwy dopiero ostatnio ogłoszeniem szeregu książek pisarzy nowego, debiutującego pokolenia. I te książki wtedy, kiedy podejmują tematykę okupacyjną, zapowiadają inny zupełnie sposób jej traktowania. Zanim jednak do nich przejdę, chciałbym zwrócić uwagę na dwie, najzupełniej zresztą od siebie różne książki: na opowiadania Wygodzkiego i „Oczekiwanie” Broszkiewicza.

„W kotlinie” Wygodzkiego różni się znacznie od podobnych przecież tematyką i nowelistycznym, zwartym kształtem formalnym opowiadań Rudnickiego czy Borowskiego — różni się postawą wobec opisywanych faktów. Wygodzki wie, że w ludzi, deklaruje bezkompromisowo swoją postawę polityczną (jest komunistą), w najbardziej tragicznym splocie wypadków potrafi pokazać optymistyczną stronę medalu. Napisał książkę o moralnym ocaleniu człowieka — człowieka ściśle związanego z postępowym nurtem historii.

W książce Broszkiewicza chciałbym na co innego zwrócić uwagę. „Oczekiwanie” jest kompletną monografią socjologiczną i psychologiczną lwowskiego getta, monografią ściśle aż do szczegółów — historycznie prawdziwą, a jednocześnie nie wpadającą nigdzie w uogólnienia i szkiełkowść reportażu. Jest to pierwsza chyba u nas książka napisana z ambicją ogarnięcia całego nie ujmowanego w kategoriach moralnych, czy psychologicznych, a socjologicznych i historycznych. Oczywiście, historia lwowskiego getta nie potrafi wytłumaczyć nam ani hitlerowskiej okupacji, ani nawet tragedii żydowskiej, pokazuje tylko, jak przebieg — ale też chodził — tu przede wszystkim o zmianę kąta widzenia literatury, o przebudzenie nowego stosunku do materiału pisarskiego. Jak ten stosunek wygląda, za chwilę.

Dlaczego zestawiam te dwie, tak różne od siebie książki? Otóż, tak jedna, jak i druga, zdają się wnosić pewne zupełnie nowe elementy do naszej „okupacyjnej” twórczości. Wygodzki wnosi wyraźny pion ideologiczny, marksistowski optymizm, który jak nie Ariadny wyprowadza go z wojennego nonsensu. „Oczekiwanie” — zapowiada ujmowanie spraw okupacyjnych w syntetycznej perspektywie historycznej. Bo o to nam właśnie chodzi: o literaturę troski historycznej, o umiejętność zdobywania pełnego, artystycznego dystansu do lat okupacyjnych, o zdolność wyboru pomiędzy natłokiem dobijających się do naszej pamięci faktów, o zarysowanie głównego nurtu rozwoju naszego kraju z lat 1939—45. A pełne, historyczne już poznanie dynamiki rozwojowej okresu, poznanie, które umiałoby wchłonąć w siebie i niewątpliwie zdobyć reportażu i ustawiło w właściwych proporcjach problematykę moralną, wydaje się niemożliwe bez wyraźnej krystalizacji ideologicznej pisarza. Dlatego moment, w którym większość naszych pisarzy wkrocza zdecydowanie na drogę socjalistycznego realizmu, powinien stać się jednocześnie momentem nowego spojrzenia na rzeczywistość okupacyjną.

Co mamy już na tym polu do odnotowania? Przyznamy się szczerze: zaledwie próby, skromne wydziedziki pisarskie na obcy im dotychczas teren klasowej i historycznej interpretacji lat okupacji. Wiele przede wszystkim wspominał już Wygodzki. „Stopnie nienawiści” np.: próba klasowej interpretacji różnicowania społeczeństwa żydowskiego i różnicowania jego stosunku do Niemców. Dalej miodzi: Czesko, mimo dość skromnego lotu i pewnego schematyzmu fabularnego stara się ukazać walkę polityczną wewnątrz okupacyjnego podziemia. Także wśród starszych pisarzy widzimy znaczne przesunięcia; niektórzy (Andrzejewski, Brandys) potrącają sprawy wojenne w swoich ostatnich powieściach i potrącają trafnie (świat okupacyjnego handlu u Brandysa). Przykłady dałoby się mnożyć.

Pozostaje nam jeszcze parę stwierdzeń końcowych. Staraliśmy się zarysować przed czytelnikiem pewne najogólniejsze przesunięcia, jakie dają się zaobserwować na terenie „okupacyjnej” literatury i naszkicować niewątpliwie już chyba kierunek tych przesunięć. Taki zamyśl musiał oczywiście spowodować pozostawienie na uboczu wielu książek i wielu tematów nawet (np. sprawa wrzesnia 1939, który doznał się bardzo częstej interpretacji; sądzą jednak, że wrzesień traktowany był raczej jako sąd nad 20-leciem, niż jako wstęp do wojny). Nie chcieliśmy także stawiać autorom stopni i nie zajmowaliśmy się kwestią artystycznej doskonałości omawianych książek, niektóre z nich zajęły już chyba stałe miejsce w literaturze, opowiadań Rudnickiego np. nie zapomni żaden z jego czytelników — staraliśmy się tylko pokazać drogę, którą „tematyka wojenna” steruje w stronę realizmu.

JAN BŁOŃSKI

1) Oczywiście nie należy sądzić, że „Oczekiwanie” stanowi wzór socjalistycznej literatury. Wzięciem ją przykładowo, nie zamykając bynajmniej oczu na fakt, że książka Broszkiewicza wyrasta przedziej z tradycji realizmu krytycznego, niż z zapowiedzi socjalistycznego. Chodziło mi jedynie o ten właśnie „historyczny”, „punkt widzenia”.

DROGA
JORGE AMADO

(dokończenie ze str. 4)

„Rycerz Nadziei” — dzieło wybitnego pisarza, poświęcone wielkiemu rewolucjonście, daje piękną i jednoznaczna odpowiedź na pytanie, które postawił autor sobie i czytelnikom wiele lat wcześniej — w przedmowie do „Kakao”, a którego wówczas pozytywnie nie rozstrzygnął. Pytanie brzmiało: „Czy będzie to opowieść proletariacka?”

JÓZEF KELERA

N A D Z I E I

ja krwią słowo „wolność” na jednej z najpiękniejszych plaż świata w dzielnicy Copacabana i przesił do historii, jako 18-tu z fortu Copacabana.

Po wyzdrowieniu Prestes awansuje na kapitana i zostaje przeniesiony do stanu Rio Grande do Sul, gdzie mając do dyspozycji batalion żołnierzy, buduje kolej między Santo Angelo i Comandai. Żołnierze prawie bez wyjątku byli analfabetami, ale po trzech miesiącach od chwili objęcia dowództwa przez Prestes przeszło 90 procent spośród 800-tu żołnierzy batalionu umiało już czytać i pisać.

W drugą rocznicę rewolty 1922 r., to jest do dnia 5 lipca 1924 r., następuje nowy wybuch rewolucji, tym razem w Sao Paulo, pod dowództwem generała Isidoro Dias Lopes, który na czele 6-tu tysięcy ludzi opanował stolicę stanu i przez 22 dni broń się skutecznie przeciwko przetrzymującym siłom rządowym, otaczającym wielkie miasto od północy i wschodu. Walkę można było wygrać, powołując robotników soaopaulowskich pod broń, ale obawy generała Isidoro przed uzbrojeniem ludu u niemożliwiały wydawnicze zasilenie oddziałów rewolucyjnych. W tych warunkach wobec stałego napływu wojsk rządowych oddziały rewolucyjne opuszczają Sao Paulo i kierują się do ujścia rzeki Iguaçu w stanie Parana, skąd łatwo można robić wypadki do trzech stanów południowych: Parany, Santa Catharyny i Rio Grande do Sul, gdzie oczekiwano powstania w każdej chwili.

Walki w czasie marszu, dezercje i choroby zmniejszały liczbę rewolucjonistów do trzech tysięcy.

Żołnierze rewolucyjni, źle uzbrojeni i wyczerpani męczącymi marszami, mieli przeciwko sobie czterokrotnie silniejszego przeciwnika, zaopatrzonego obficie w artylerię, karabiny maszynowe i amunicję. W ciągu siedmiomiesięcznych walk na froncie o długości 600 kilometrów 12 tysięcy rządowych nie mogło pokonać 3 tysiące rewolucjonistów. Dopiero dnia 27 marca 1925 r. rządowcy odnoszą pierwsze poważniejsze zwycięstwo pod Catanduvras i sytuacja wojsk generała Isidoro staje się krytyczna. Wówczas przybywa z odsieczą Luís Carlos Prestes i narzuca dowództwo rewolucyjnej koncepcji, skonczenia z walkami pozycyjnymi, oderwania się od wojsk rządowych i wyruszenia w głąb kraju z zagwiałą rewolucji w rękę. Potwierdzeniem słuszności tej koncepcji był jego własny 1500 kilometrowy marsz z otoczonego przez

wojska rządowe miasta Sao Luis w Rio Grande do Sul do rzeki Iguaçu, podczas którego Prestes walczą zwycięsko z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem. Jeszcze z Rio Grande pisał do Isidoro:

— Dla nas, rewolucjonistów, ruch to zwycięstwo. Wojna na terenie całej Brazylii winna być ruchoma.

Dnia 12 kwietnia 1925 r. w miasteczku Foz de Iguaçu, położonym przy ujściu rzeki Iguaçu, odbywa się narada dowódców oddziałów rewolucyjnych z udziałem Prestesa. Sytuacja była rozpacziwa. Wielu oficerów emigrowało do Argentyny, znajdującej się po drugiej stronie rzeki, liczni żołnierze dezercerowali, unosząc z sobą broń i pieniądze. Epidemie szczyły się nagminnie, a teren został ogolony z żywności. Liczba żołnierzy z 3 tysięcy spadła do 1.300 i demoralizacja czyniła dalsze postępy. Przybycie z Rio Grande 800 ludzi nie zmieniło w zasadzie sytuacji. Brakło bronii a jeszcze bardziej pieniędzy.

Na naradzie większości zebranych wypowiada się za przerwaniem akcji. Wówczas zabiera głos Prestes i oświadcza, że jego żołnierze nie będą emigrowali i że on ze swoją kolumną pójdzie w głąb Brazylii, skieruje się przez Mato Grosso na wschód i uderzy na stolicę państwa. Proste, ale trafiające w sedno, słowa Prestesa sprawiły, że postanowiono walkę kontynuować a generał Isidoro przekazał dowództwo Prestesowi i Miguelowi Costa, przyczym Miguel Costa objął komendę a 26-cio letni Prestes — kierownictwo sztabu głównego w randze pułkownika.

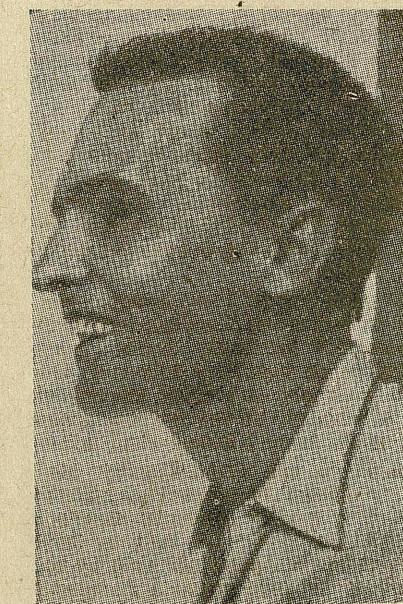
W opinii generałów rządowych i znacznej części samych rewolucjonistów sprawa była przegrana beznaście. Według wyrażenia jednego z generałów rządowych — Rondona, oddziały rewolucyjne znalazły się w zakorkowanej butelce, której ścianą stanowiły dwie wielkie rzeki: Iguaçu i Parana, a korek wojska rządowe o tak zdecydowanej przewadze, że wynik ewentualnego starcia nie mógł przedstawiać żadnych wątpliwości.

Na szczęście dnia 27 kwietnia przybił do portu Adela parowiec paragwajski „Bell”, który po krótkiej walce zostaje zarekwirowany przez żołnierzy Prestesa, co w połączeniu z małym parowcem brazylijskim, będącym w posiadaniu rewolucjonistów, daje możność dokonania w dniu 28 kwietnia przeprawy przez rzekę 1.500 ludzi i tabunu koni i bydła, liczącego ponad 1.000 sztuk. Następnego dnia patroly rządowe, dotarły do portu Adela, stwierdziły, że oddziały rewolucyjne znajdują

ją się już na paragwajskim brzegu rzeki Parany.

Całą drogę do granicy brazylijskiej, odległej o 125 km, Prestes odbył pieszo, maszerując na czele kolumny, jak zwykły żołnierz, a w dn. 3 maja razem ze wszystkimi oddziałami przekroczył granicę i znowu stanął na ziemi brazylijskiej w stanie Mato Grosso.

Żołnierze kolumny, brudni w łachmanach, nieomal bosi, wygnędziali i niewyspani, robili niesamowite wrażenie.



Louis-Carlos Prestes

Patrząc na nich, trudno było wyobrazić sobie, że potrafili w ciągłych walkach z przeważającymi siłami wroga wędrować w ciągu dwóch lat po całej Brazylii wzdłuż i wszerz i stworzyć wspaniałą epopeję walki o historycznej nazwie Wielki Marsz Prestesa. Miguel Costa bowiem wkrótce po przekroczeniu z powrotem granicy brazylijskiej zrezygnował z dowództwa na rzecz Prestesa i Prestes już w randze generała dowodził kolumną przez cały właściwie czas Wielkiego Marszu.

Dzieje tego epopei stanowią znaczną część pięknej książki znanego brazylijskiego pisarza Jorge Amado, p. t. „Rycerz Nadziei”, wydanej niedawno nakładem „Czytelnika”.

Powodzenie militarne marszu umożliwiło dokonanie wielkiego dzieła rozbudzenia szerokiej mas ludu brazylijskiego. Sam Prestes tak określił cele przysięgające jego marszowi:

— Już wtedy, gdy postanowiliśmy wyruszyć na północ Brazylii, cele

wojskowe kolumny — mówiąc językiem technicznym — zeszły na plan drugi. Dążyliśmy wówczas przede wszystkim do tego, by obudzić mieszkamców wewnątrz kraju, wyrwać ich z apatii, w której byli pogrążeni, obójtni na losy Ojczyzny, nie liczący na pomoc w rozwiązaniu swych trudności; w usunięciu swych cierpień. Dzieło nasze miało przede wszystkim charakter polityczny i społeczny... Wszystko wskazywało na to, że zamierzenia te wprowadziliśmy w życie możliwie najlepiej.

W istocie na obszarze od Paragwaju aż do Amazonki Prestes bierze w opiekę pokrzywdzonych, niszczy księgi podatkowe biedaków, zwalnia niewinnie uwięzionych, wrzuca do pieca akta niesprawiedliwych procesów, łamie i pali narzędzia tortur i walczy wszędzie ze wszelkimi przejawami niesprawiedliwości i korupcji. W oczach chłopów i parobków rolnych walka z krzywdą i możnymi koronami (każdy większy posiadacz ziemski w Brazylii posiada tytuł pułkownika gwardii narodowej czyli koronela) z wypłynął niedzielnej modlitwy, szepcanej beżmyślnie, zeszła na ziemię i nabrała żywej treści. Chłopi przekornali się naczynie, że można buntować się i walczyć z przemocą i jutrzenka nadziei rozjaśniła myśli i uczucia kabokli interieru brazylijskiego (kaboklo — mieszkaniec lasu).

Pochód przez Brazylię był jednocześnie wielką szkołą życia dla samego Prestesa. Urodzony i wychowany w Rio Grande do Sul, jednym z najbardziej gospodarczo rozwiniętych i oświeconych stanów Brazylii o zdrowym klimacie, a wyształcony w stolicy, Prestes raczej wyznawał, niż zdawał sobie sprawę z ogromu nędzy i ciemnoty ludu brazylijskiego. Jako człowiek o wielkiej prawości charakteru podniósł sztafard buntu w imię walki z korupcją, a zakończył wielki marsz w pełnym zrozumieniu potrzeby przebudowy ustroju na zasadach sprawiedliwości społecznej. Zrozumiał potrzebę przebudowy, ale nie wiedział, jak jej dokonać.

I oto na wygnaniu najpierw w La Gaiba w Boliwii, a następnie w Buenos Aires w Argentynie zabiera się ze zwykłą sobie pasją do szukania odpowiedzi na dręczące go pytanie, studiuje Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina i stopniowo dochodzi do komunizmu.

W maju 1930 r. Prestes wydaje manifest, opublikowany nieomal przez całą prasę brazylijską, w którym oświadczył, że wstąpił do Komunistycznej Partii Brazylii.

Jerzy Bielak



W świetlicy

MARCIN WIELGUS

TRZY SPOJRZENIA

N a wiosnę, 1948 r. Instytut Prasy Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” ogłosił konkurs p.n. „Opis mojej wsi”. Niedawno opublikowano wyniki konkursu. Mam przed sobą jedną z prac nagrodzonych. II nagrodę (40.000 zł), której autorem jest 30-letni chłop z Brzeziny gm. Kraśniczyn pow. Kraśniński, woj. Lublin — Łukasz Huszcza. Mam również przed sobą jedną z prac nagrodzonych V nagrodą na konkursie „Wsi”, której autorem jest Andrzej Ostoja i., porównując te prace z życiorysami „Młodego Pokolenia Chłopów” z 1938 r.

Te trzy pozycje: „Młode Pokolenie Chłopów” z 1938 r., „Opis mojej wsi” z początku 1948 r. i plan konkursu „Wsi” z końca 1949 r. (daty! daty! — zapamiętajcie daty!) to są dokumenty wychowania.

Kim byli autorzy „Młodego Pokolenia Chłopów”? — Kłopotami niedzi i bezradnością wiejskiej. Ich życiorysy są oskarżeniem ustroju. Lecz jaka u większości bezradność spojrzenia! „Nie znalazłem światła i dałem się go” — pisał wtedy młody chłop. Oto typowa postać chłopca szukającego po omacku prawdy po świecie, dorabiającego się często na własną rękę światopoglądu klasowego. Jakże często bez tego poznawczego instrumentu, bez świadomości klasowej na próżno grzebał w uwierzonych w kłótki kapitalistycznej kłótki półśrodkach, w znieczulających narkotykach społecznych... komasacja, parcelacja dworu, odpyły ludności do miast, uniwersytety ludowe, mafia (bezina) Stefanków i Abramowiczów. Jedynym dostrzeżanym w ciemnym polu widzenia wróg konkretny to dwór i karczmarsz, czasem wstępnym proboszcz. Wiedzę rozprowadzając jako autonomizm na wyspa w kraju. Klasa robotnicza jako niezbędny sojusznik niedoświadczona, ani jej kierownicza partia... niezorientowanie w sprawach politycznych. Zdziewidzająca statyczność w obrazie wsi, adialektyczne widzenie rzeczywistości, bunt, przechodzące w rezygnację.

Owszem była równocześnie, ale tylko część młodzieży wiejskiej, która w ówczesnych warunkach już potrafiła dorobić się świadomości klasowej, potrafiła połączyć swe wysiłki z klasą robotniczą, potrafiła dostrzec w perspektywie Polskę Ludową i pisać: „Wytwarza się nowa siła chłopstwa i robotnicza, która idzie w marszu ku demokracji i sławie potęgę, błogosławionych rządów sanacji”.

U-piszęcego na początku 1948 roku Łukasza Huszczy, wieś ukazana jest jeszcze bez rozwarstwienia uewnętrznego. Dostrzeżony konflikt przedwojenny to konflikt dwór — chłop. Ale już jaka dynamika opisu! Jaka potrzeba historyczności i w ujęciu tego tak zdawałoby się „statycznego” tematu jak opis wsi. Przedwojenne walki polityczne nabierają w powojennej, dziesięć lat później, jakiejś nowej ekspresji. Stają się niestychające i nieustanne, wstają jak do czółowek wypadków z przeszłości, które autor wywołuje z ciężkiej sieci wspomnień. Odnajdują swój pełny sens. Czy to tylko kwestia perspektywy narratora? Bynajmniej. To nowe zrozumienie wsi. To z mienia się i w sobie i autor. Autor nie daje sobie nawet sprawy, w jakim stopniu opisywane przez niego nowe zjawiska na wsi: PPR, ZWM, ZSCh, radiowóz, świetlica i gazety, reforma rolna i ośrodek maszynowy przekształcały jego światobłąd. Obserwujemy nagle p r e f a s i e n i e obrazu wsi. Z magistralnych konturów w „Młodym Pokoleniu Chłopów” wylania się tutaj ostry profil rzeczywistości. Widzenie polityczne poprawne, choć jeszcze nieopłócone. Praca Łukasza Huszczy staje się wprost monografią o l i t y c z n ą wsi Brzeziny, gdzie autor dostrzega jednak dopiero same najostrejsze, zorganizowane, najwyraźniej uświadomione objawy walki klasowej. Wspomnienia organizacji politycznych, obchodów pierwszomajowych, święta ludowego, wieców politycznych krągów tłumionych przez reakcyjne bojówki i policję granatową na usługach dziedzica. Zbradniczone zamachy niektórych grup A. K. na walczącą bohaterkę z okupantem A. L. po tem w pierwszych latach powojennych, przeprowadzanie reformy rolnej, zwalczanie band leśnych, wybory do sejmiku. W tym spojrzeniu usterk pełne z r o z u m i e n i e i dał walki KPP i radykalnych ruchów chłopskich, dema-

SPROSTOWANIE

W numerze 20 „Wsi” nazwisko autora wiersza „Golebie” winno brzmieć: G i e g i e r.

W numerze 22 „Wsi” nazwisko autora wiersza „Sztukator” winno brzmieć: G i s g e s.

TADEUSZ SZEWEERA

MUZYKA NAD MOSZCZENICĄ

MOSZCZENICA to duża wieś, zbliżona wyglądem do osady. Tuż przy niewielkiej stacji kolejowej, kłapiąca pracą fabryką.

Zbudowano ją tutaj tak samo, jak wiele różnych fabryk rozrzuconych po innych wsiach w Łódzkiem. Powstała w prawie identycznych warunkach z drobnego rzemiosła i chłopskiego rękodziełnictwa, rozwarstwionego przez kapitalizm. Następowo zbliżanie się chłopów do fabryki, wieś ztraciła stopniowo swój charakter pierwotny. 250 rodzin chłopskich zamieszkuje Moszczenicę i łącząc się z nią gromadę Wólę Moszczenicką, poczęło wstawać w fabrykę. Warsztat rękodzielniczy nie stanowił teraz źródła dochodu, nie zabezpieczało egzystencji kilku-morgowego gospodarstwa. Tworzyła się w ten sposób nowa klasa, proletariacka, której świadomość kształtowała fabryka.

Ale nie o to chodzi. Dzieje tej fabryki wiąże się ściśle z historią powstałego w murach szkolnych dziecięcego zespołu muzycznego, wiąże się także z historią człowieka, który ten zespół organizował i nim kieruje. O tym zespole słyszy się wszędzie wokół Moszczenicy, o zespół dziecięcy z moszczenickiej szkoły wola świetlica pegerowska, świetlica fabryczna. O zespole można znaleźć wzmianki dziennikarskie i artykuły w codziennej prasie całej Polski.

Obok fabryki widzimy grupę murawianych, czerwonych od cegły domów. Dalej na prawo olbrzymi, tonący w zieleni drzew park, a w pałacyku poobstawianym szkoła.

Pałacem Państwowego Gospodarstwa Rolnego, skąd dolatuje mniarowy warkot pracujących traktorów. Tuż za wsią rozciągają się pola pegerowskie z przylegającą do nich ziemią chłopską wsi Gązomia. Widać tu i ówdzie orzących chłopów. Od majątku PGR-owskiego droga wiedzie ku centrum wsi. Przebiega obok stawu, przy którym stoi młyn. Woda spada ze słazu z hałasem na nieruchome koło. Po tym drodze wiedzie pomiędzy domami i krytymi strzechą, niskimi chałupami. Dalej niewielkie kościół, zabudowania plebanii i plac przykościelny, na którym ręk. Czerwien zapasek i kwiecisty chustek raz i aż oczy. Nad gwar wzbija się chwila rozedrganej wesołości śmiech dziewcząt i dorastającej kawalerki. Kręci się karuzela, przy dźwiękach harmonii i bębna. Kramy, strzelnica, fotograf „la la minut”. Ustawia teraz skrzynkę aparatu, na przeciw rozpartego w krześle, odświętnie ubranego chłopca. Kulak, typem przypominającym reymontowskiego Boryn, dumnie rozpatrywa na swoich włościach, pozuje przed aparatem, aby mieć pamiętkę ze „świętego” odpustu. Kiedy w tym czasie chłopcy ze wsi Gązomia orzą, bo ziemia wola o pracę.

Dzieje się to wszystko w ciepły, wiosenny poranek. Kiedy tu jest słońce rozpręża żarem czerwien.

wone dachówki rozedrganej pracą fabryki, do której przed chwilą śpieszyli robotnicy. Mijają mnie teraz gromadkami idące dzieci do szkoły. Przesuwa się przede mną kolorowa gromada kobiet i chłopców, śpieszących na plac przed kościołem. Na odpust...

Kręci się karuzela przy dźwiękach harmonii. Snuje się smutna, odpustowa melodia, podchwytliwa przez różnokolorowy, rozbarwiony tłum. Przeciskam się przez ten tłum, chcąc wydostać się z placu, pójść ku bielejącej wśród zieleni drzew szkole. Stamtąd też płynnie muzyka...

W miarę oddalania się od placu przykościelnego, cichnie melodia pieśni odpustowej, oddziaływającej jedynie w ciemnym kręgu zamkniętego domami placu. Już jej poza nim nie słychać. To muzyka stara, umiejscowiona na placu odpustowym, nie powracająca.

Lecz za to potęguje się muzyka, płynąca od białej szkoły. Niesie się ona na całą fabrykę, odbija od niej echem, powraca. Niesie się na świetlicę majątku PGR-owskiego,



Szkolny zespół muzyczny w Moszczenicy

na świetlicę gromadzką. Muzyka nowa, mocniejsza od muzyki odpustowej, zagłuszająca ją.

Stoję przed szkołą i słucham. Co to jest za muzyka, której treścią jest pieśń robotnicza i chłopska. Rozbrzmiewa teraz gromko na całą wieś melodia pieśni rewolucyjnej klasy. „Krew naszą długo leją katy”. To nie jest muzyka zwykła. W tej pieśni, lecącej wraz z muzyką od szkoły, zamknięte zostały dzieje klasy robotniczej, dzieje chłopskich mas rewolucyjnych. Kiedy się wstucham w nią, to staje się ona najpiękniejszym wykładem z historii ruchu rewolucyjnego.

Kiedy tak słucham tej pieśni robotniczej, przypominam mi się rozmowa z robotnikiem — na wójt chłopem, mieszkającym Moszczenicy. Mówił mi o dziejach fabryki, o życiu swej rodzinnej wioski w latach międzywojennych, kiedy to w Moszczenicy panował się obszarnek Ender. Fabryka była jego, majątek rolny także do niego należał. Bieda przyciskała robotników. Buntowali się i w dniach świata mas pracujących całego świata chwytały za drzewce czerwonego sztandaru, by ponieść go demonstrując na czele 1-szo Majowego pochodu. Na przeciw nich wychodziła zbrojna straż endersowa, granatowa policja, by kolbami, pałkami gumowymi rozpędzać „motloch”. Tak samo było, gdy chłopci, gniotący się z licznymi, bo nieraz i jedenaściami osób przekraczającymi rodzinami na trzech a nawet dwóch morgach lichej ziemi, upominali się o prawo do ziemi Endera.

O tym wszystkim, o czym mówił mieszkający Moszczenicę, chłop i robotnik zarazem, mówi pieśń płynąca ze świetlicy szkolnej. Oddziaływała ona nie tylko uczuciowo na słuchacza, nawet najprostszego. Ta pieśń uczy historii swej klasy.

Któż to tak gra... Czyżby jakiś nowy Janko Muzykant?... Chyba nie. Ten grałby zapewne na placu przykościelnym, bo tam by było jego miejsce. Janko nie mógłby rozumieć takiego sensu i znaczenia społecznego muzyki. Musi to grać ktoś, kto to znaczenie rozumie, kto zna społeczną wartość muzyki.

To grają właśnie dzieci z muzycznego, szkolnego zespołu, o którym się tak wiele w Moszczenicy mówi.

Jest w Moszczenicy Stasiek Sobala, syn fernala z majątku pegerowskiego. Nim Stasiek zaczął chodzić do szkoły, często podkradał się cichcem pod drzwi świetlicy, przywierał do nich i chłonał całym sobą to granie, lecące od świetlicy szkolnej. Tam ćwiczyli prawie jego rówieśnicy, z których ob. Justyna — montował zespół muzyczny. Stasiek Sobala pragnął grać. Czuli potrzebę grania. Ale chyba czuli tak, jak kiedyś, może w podobnej do Moszczenicy wiosce, Janko Muzykant.

Było to w roku 1945, w roku pierwszych trudnych początków, powstającego w szkole zespołu muzycznego. Wtedy to często Stasiek siedział koło ojca, wracającego po pracy do czworaków i opowiadał mu o tym graniu w szkole. Zwykły w takich chwilach mawiał

do ojca, że jak pójdziesz do szkoły będzie tak samo grał jak inni.

Niedługo po tym Stasiek poszedł do szkoły. Włączono go do grupy tancerzy, bo Stach Sobala miał ku temu zdolności. Ale pozwolono mu jednocześnie uczyć się gry na harmonii.

I tu Stach Sobala — syn robotnika rolnego — przestał być Jankiem Muzykantem. Dano mu instrument w ręce ale nie po to, by grać wierzbowo płaczącym, oddając w dźwiękach strun szum ich liści, nie wodzie szemrzącej po kamkach, ptaszkom ciurlikającym, lecz ludziom. Nauczono go nowej, społecznej muzyki. I to jest ważne, bo zaważyło na dalszych losach Stacha.

Pewnego dnia Stach Sobala przyszedł do zespołu muzycznego z harmonią. Kupił mu ją ojciec, fernal z majątku pegerowskiego. Ojciec, który poszedł już w tym czasie na emeryturę, bo mu kłopotliwy wzrok nie pozwalał dłużej pracować.

Jak wielki był wysiłek ojca kupującego dziecku harmonię, on sam

zespołu muzycznego składającego się z 60 dzieci w wieku od 7 do 14 lat, awans jest tu na miejscu w gromadzie. Tak samo jak on i Stach Sobala w nieznanym dotychczas sposobie awansować przez muzykę w swej wsi Zdzich Kąrmierki, syn wójtowa, mały Kłębowski, syn robotnika z cegielni, Maniek Dura, który też ze względu na swe zdolności muzyczne pójście na pewno do LIM-u, Władek Gieszc, syn matorolnych chłopów ze wsi Prosenice, dochodzący codziennie do szkoły 7 km w jedną stronę, 12-letni Bukowiecki, sierota po robotniku fabrycznym i wielu innych chłopów, uczniów szkoły moszczenickiej, których zespół spełnia nową funkcję w rodzinnej wsi, w której zachodzą przemiany pod wpływem oddziaływania fabryki i nowej szkoły.

Opiekę nad szkołą moszczenicką rozciągała fabryka, w której powstał i żyje dziecięcy zespół muzyczny. Szkoła ta daje młodzieży stały zawód, wyznacza jej poprzez muzykę rolę w społeczeństwie wiejskim. Gdziekolwiek po skończeniu szkoły powszechnej dziecko chłopskie czy robotnicze z Moszczenicy się znajdzie, a widziemy już absolwentów w fabryce, w PGR-ze, w średniej Szkole Włókienniczej, w LIM-ie, to wie dlaczego tam idzie. Znajduje w każdym wypadku swą funkcję społeczną, wyznaczoną przez szkołę i zespół muzyczny. Ma z góry określony swój udział w życiu gromady, będzie kształtował i już kształtuje życie kulturalno-oświatowe w świetlicy pegerowskiej, w świetlicy fabrycznej. Nic nie traci ze swego talentu muzycznego, który przecież tylko rozwija w zespole, nie zaniedbując nauki. Bo im lepiej się uczy, tym lepiej gra. Żle się uczy, musi zespół opuścić.

Stworzenie takiego zespołu muzycznego przy szkole wymagało wielkiego wysiłku i specjalnego. Mógł tego dokonać tylko człowiek, rozumiejący sens społeczny muzyki. Jest nim nauczyciel, samouk ob. Jan Justyna.

Jan Justyna wyrósł wśród chłopów w rodzinnej swej wsi Żarnowie koło Moszczenicy. Wśród nich uczył się samouk poznawania muzyki, szukając w niej wartości społecznych. Uczył się prowadzenia gromady dziecięcej, organizując trwające tylko okresami, bo nie było funduszy w latach międzywojennych na muzykę, zespoły we wsi rodzinnej. Uczył się muzyki po to, by oddać swą wiedzę właśnie temu ustroju, z którym do Moszczenicy przyszło nowe. Nowe, którego wynikiem jest również konflikt zachodzący pomiędzy muzyką nową, a starą z placu przykościelnego.

Zasób wiedzy muzycznej i świadomości społecznej narastał w Justynie wtedy, gdy organizując próbne zespoły staczał w swej rodzinnej wsi Żarnowicach ostrą walkę z miejscowym kłakatem, gdy rzucano weń paszkilami i oszczerstwami anonimowymi, kierując je niejednokrotnie do władz sanacyjnych — Justyna to socjalista, jego ojciec był posłem do Dumy. Uczył się wówczas, gdy fujarki z wierzby musiały zastępować prawdziwe instrumenty.

Doświadczenia swe oddał teraz wraz ze swą pracą nowej szkole. Ale sam swych doświadczeń nie byłby w stanie urzeczywistnić, gdyby nie pomoc nowej fabryki, która dotychczas opiekując się zespołem muzycznym, pomaga w rozwiązywaniu wszelkich trudności.

Kiedy powstał zespół w szkole nie było instrumentów poza kilkoma odpustowymi fujarkami i harmoniami, z takim trudem zdobywanymi. Ojcowie-robotnicy z fabryki łamali sobie głowy jak tu instrumenty zdobyć. Czasem udawało się, ale przychodziło to z wielkim wysiłkiem, połączonym jak to miało miejsce u ojca Stacha Sobala, ze sprzedażą ostatniego prosiaka. I wtedy rozwiązano pierwszy trudność zespołu. W warsztatach naprawczych spod czarnych ręk robotników-ojców dzieci moszczenickiej szkoły, wyszły takie sobie zwykłe odpustowe fujarki, zrobione z żelaznych rurek i do złudzenia przypominające prawdziwe orkiestralne piszczałki.

Od tamtej pory fabryka rozwiązuje wszelkie kłopoty zespołu, fabryka daje kostiumy, finansuje wyjazdy dzieci na wczasy, na występy.

Zbliża się wieczór. Zachodzące słońce krwawą plamą opiera się o huczącą maszynami fabrykę. Do fabryki spieszą robotnicy na wieczorną zmianę. Ci, którzy skończyli pracę, są teraz w świetlicy razem z zespołem. Droga ku stacji idą gromadkami uczestnicy odpustu. Plac przykościelny opustoszał, przekupnie zwijają kramy. Przechodziła bezpowrotnie muzyka i pieśń odpustowa. Ale za to brzmia, odbijając się od murów fabryki, murów szkolnych i pegerowskiego majątku, stale żywa pieśń dziecięcego zespołu muzycznego z Moszczenicy pod Piotrkowem Trybunalskim. Odpustowi ludzie zatrzymują się i słuchają. Słuchali dwie godziny.

TADEUSZ SZEWEERA

K R Y T Y K A I D E A L I Z M U^{(II)*}

CZĘŚĆ II książki Cornfortha** (rozdziały 7—14) poświęcona jest krytycznemu rozbirowi tzw. logicznej analizy i logicznego pozytywizmu. Filozofem, który wystąpił z „nowym” programem filozofii, zgodnie z którym istotą filozofii ma być logika, a który zapoczątkował nowy sposób kwestionowania znaczenia nauki, był Bertrand Russell. Twierdził on, iż „filozofia nie ustala i nie może ustalić ani odkryć nowych faktów lub nowych praw ogólnych, rządzących światem lub poszczególnymi rzeczami w świecie” (str. 95). Filozofie należy sprowadzić do logiki, filozofowanie do logicznej analizy zdań, „ustalanych za pomocą zwykłego postrzegania i za pomocą nauki”. Ten „galileuszowski” program, jak ironicznie zauważa Cornforth, na pierwszy rzut oka wydaje się słuszny, jednak niestety „dalsze rozważania wykazują, że szybko podejrzaną podobieństwo „nowego programu do bardzo dawnego programu filozoficznego Berkeley’a i jego następców. Mówili oni: „Przyjmujemy” wyniki nauki... ALE — dajemy im pewną interpretację. Obecnie mówi się: „Przyjmujemy” wyniki nauki ALE poddajemy je logicznej analizie” (str. 96). I oto z badania wielu dzieł Russella wynika niezbitnie, że logiczna analiza jest metodą nienaukową spekulacji. „Filozofowie logiczni — analitycy, powiada Cornforth, postulując ponad naukową i ponadempiryczną metodę analizy logicznej — filozoficznej, wzywają nas do opuszczenia ścieżki nauki, gdzie wszystkie hipotezy i analizy są oparte na obserwacji i sprawdzane na zasadzie doświadczenia, i żądają, abyśmy wzięli udział w ich wątpliwych filozoficznych przygodach. Zamiast badać świat rzeczywisty (t. zn. taki, jaki jest — Z. Ch.), mamy „budować świat” z rzekomo ostatecznych logicznych elementów. Tymczasem „metoda analizy” nie jest wcale metodą analizy, lecz raczej metodą spekulacji” (str. 106, podkr. moje — Z. Ch.).

Bardzo interesującą krytykę Cornfortha, atomizmu logicznego Russella i Wittgensteina, dochodzącą do bezspornego wniosku, iż jest to doktryna metafizyczna i aprioryczna. W filozofii Wittgensteina ukazuje autor wyraźne założenia solipsystyczne, wewnętrzne niekonsekwencje i zbieżności z Berkeley’em. „Filozofia ta, chociaż jest oderwana od życia, jest jednak częścią życia — jest siłą społeczną, która służy klasom reakcyjnym — w ich walce przeciw oświeceniu materialistycznemu” (str. 160).

W rozdziałach 10 — 17 zanalizowany został krytycznie tzw. logiczny pozytywizm Carnapa i jego Ko-

ła. Zaznaczyć warto, iż w pierwszym, angielskim wydaniu książki Cornfortha (Science versus Idealism, London 1946) znalazły się rozważania, dotyczące jedynie pierwszego etapu rozwoju logicznego pozytywizmu; nowsze publikacje tej szkoły, aktywnej dziś, co znamienne, w St. Zjedn. były naturalnie pominięte. Polskie wydanie, do którego weszła niepublikowana dotąd część III (Semantyka i Pragmatyzm), zawiera już przegląd całego dorobku logicznego pozytywizmu, wobec czego zarys poglądów tej szkoły stał się pełniejszy, a krytyka bardziej obszerna i wyczerpująca. Redakcja przekładu polskiego słusznie zwraca uwagę czytelnika na uzupełnienie zawarte w części III, bowiem oprócz krytyki wyników ewolucji logicznego pozytywizmu i krytyki pragmatyzmu zawiera ona pewne zrewidowane poglądy Cornfortha co do społecznej funkcji współczesnych kierunków filozofii burżuazyjnej.

Wyśledzonym twierdzeniem Carnapa było, iż istotą filozofii jest tzw. składnia logiczna, zajmująca się wyłączeniem symbolami czyli językiem bez względu na znaczenie. Dziś Carnap głosi co innego. Twierdzi mianowicie, że przedmiotem filozofii winna być tzw. znaczeniowa analiza języka naukowego, przy czym postulatem naczelnym filozofowania tego typu jest dążenie do ujednolicenia języka nauki. Cóż znaczy w istocie owo hasło „ujednolicenia nauki”, którym szafują logiczni pozytywści? Znaczący ono, iż ujednolicenie wszystkich nauk ma polegać na takim ułożeniu języków poszczególnych nauk, aby można je było „sprowadzić” do twierdzeń o danych obserwacji (tezy protokolarne), t. zn. do postrzeżeń wrażeń i danych zmysłowych. Każdy rozumie, iż jest to teza czystego empiryzmu. „Kwestia jednoci nauk nie jest problemem ontologii, lecz logiki” — woła Carnap; to znaczy, powiada Cornforth, że jest to kwestia „semantycznego żonglowania „językiem naukowym”. „A „język naukowy” w interpretacji logicznego pozytywizmu odnosi się nie do obiektywnej rzeczywistości, lecz tylko do naszych postrzeżeń, które są jedynym „materiałem” sprawdzającym nasze zdania, formułowane w tym języku.

Zaprzeczenie możliwości sprawdzenia tego, iż poznanie nasze, które istotnie ujmujemy w język naukowy, dotyczy przedmiotowej rzeczywistości, stanowi główne założenie logicznego pozytywizmu. Twierdzenie o obiektywności nauki w tym sensie, iż mówi ona o rzeczywistości, to wedle logicznego pozytywizmu „metafizyka”. Rozprawiając się z tym niedorzecznym epitetem „metafizyczności”, którym obdarzają pozytywści materializm, Cornforth

precyzuje, co jest właściwie metafizyką, a co nią nie jest. Nowocześnie empiryści nazywają metafizyką każdy wysiłek zmierzający do stworzenia ogólniejszego poglądu na świat lub opisanie „istoty rzeczywistości” czy „substancji rzeczy”. „Definiowanie metafizyki” — powiada na to Cornforth — przez wskazanie na przedmiot jej badań nie wydaje się zadawalające. Bowiem w pewnym sensie cała nauka, podobnie jak filozofia, zajmując się substancją rzeczy i istotą świata. Jeżeli więc „metafizykiem” jest ten, kto rozprawia o substancji rzeczy i istocie świata, to sama nauka posiada tendencję „metafizyczną” (!). „Ujęcie takie zaciera bardzo ważne rozróżnienie, a mianowicie rozróżnienie między szerokim filozoficznym uogólnieniem, opartym na doświadczeniu i wynikach nauki, które pragniemy uzasadnić i gotowi jesteśmy zmieniać w świetle doświadczenia i nauki — a uogólnieniami, które posiadają charakter aprioryczny pomimo doświadczenia i osiągnięcia nauki a jest dogmatyczne i spekulatywne” (str. 275). Metafizyka jest — zgodne z klasycznym materializmem dialektycznym — ujmowanie rzeczy w ich izolacji, statycznie, w oderwaniu od naturalnego związku wszystkich rzeczy. I oto okazuje się, że we właściwym sensie i z wielu racji właśnie logiczny pozytywizm trzeba nazwać metafizycznym.

Ta kolejna odmiana czystego empiryzmu, mająca jeszcze u nas nienasycone zwolenników wśród przedstawicieli filozofii akademickiej, została przez Cornfortha potraktowana najszczegółowiej i skrytykowana najkonsekwentniej. Po przeczytaniu książki Cornfortha nie ma się żadnych złudzeń co do „materializmu” Carnapa, ma się natomiast przekonanie o klasowym, burżuazyjnym i wysoce reakcyjnym znaczeniu jego filozofii.

Dwa przedostatnie rozdziały omawianej pracy traktują o pragmatyce Jamesa i Deweya oraz o nowej nauce amerykańskiego profesora filozofii Morrisa — semiotyce, czyli teorii znaków. Autor wyraźnie wykazuje zgodność tych kierunków z czystym empiryzmem i ich niedwuznaczną rolę społeczną. Co do pragmatycznego kryterium prawdy zauważyć można, czego nie czyni Cornforth, iż zbiega się ono z tym, co głosił skrytykowany „świełtne” przez Lenina w „Materializmie i empiriokrytycyzmie” machista rosyjski — Bogdanow. Zdania, iż prawda jest to, co użyteczne, oraz, iż prawdą jest „żywa organizująca forma doświadczenia ludzkiego” znaczą chyba to samo, to jeszcze

jedna koligacja pragmatyzmu i materializmu, jakich wiele wyświetla Cornforth.

Wnioski ogólne o nowocześnie filozofii empirycznej formuje Cornforth w ostatnim (20) rozdziale swojej pracy. Stwierdza on pewne pozytywne w pewnym sensie cechy tej filozofii oraz charakteryzuje w sposób rzeczowy społeczne znaczenie współczesnego empiryzmu. „Z punktu widzenia społecznego współczesny empiryzm odzwierciedla intelektualny i moralny rozkład społeczeństwa kapitalistycznego. Przeczy o tym, że umysł ludzki zdolny jest zrozumieć obiektywną rzeczywistość, w wyniku czego zaprzeczają rozumowi i nauce. Zaprzeczają, że istnieje możliwość racjonalnej i naukowej podstawy dla postępowania ludzkiego. Należy więc osądzić współczesny empiryzm jako w zasadzie swej wrogi nauce i postępowi”. (str. 385).

Dając przegląd tej ciekawej i pożytecznej książki, przytaczałem pewne twierdzenia autora, pomijając jej argumenty. Oczywiście sposób ten nie odzwierciedla tonu książki, nie mniej konieczny był ze względu na ograniczone ramy moich relacji. Podkreślić dlatego wypada, że krytyka Cornfortha jest bardzo rzeczowa, dotyczy reprezentatywnych i zasadniczych poglądów współczesnego empiryzmu, których sformułowania przytacza autor na każdym miejscu in extenso. I tę rzeczowość uważałem za niewątpliwą wartość pracy. Inny walor książki polega na tym, że przedmiot jej potraktowany został historycznie i porównawczo w pewnym sensie, dzięki czemu główny punkt widzenia autora co do rodowodu współczesnej filozofii burżuazyjnej stał się istotnie uzasadniony. Twierdząc, iż wartość dzieła Cornfortha płynie ze zdecydowanego zajęcia stanowiska filozoficznego.

Słuszność kilku rozumowań, w których autor starał się rozwinąć materialistyczną interpretację, ulega wątpliwości, na co redakcja przekładu polskiego zwraca słusznie w odpowiednich miejscach uwagę. Tak np. błędne jest utożsamienie ruchu i materii (str. 131, uwaga 121); niebýt fortuna nie była próbą przewyższenia kantowskiego poglądu na czas (str. 198 i nast., uw. 171) i inne.

Tych kilka słabych punktów nie umniejsza jednak dużej wagi pracy Cornfortha, która dla każdego czytelnika polskiego, zorientowanego nieco w zagadnieniach filozofii, przyniesie może dużo pożytku. Nie jest, bowiem, żadną tajemnicą, iż wpływy ideologii burżuazyjnej za-

znaczyły się u nas swego czasu najsilniej w naukach humanistycznych, a szczególnie w filozofii. Przez wiele lat czytelnik polski darzony był produkcją filozoficzną, nie — a w każdym razie niewiele wspólnego z naukowym poglądem na świat mającą. Burżuazja szczególnie w latach międzywojennych starannie dbała o szerokie ugruntowanie tradycji idealistycznych. Naukowe widzenie świata cechowało jedynie postępowe i rewolucyjne elementy robotnicze, chłopskie i inteligentne. W nowym układzie sił społecznych sytuacja, rzecz wiadoma, uległa zasadniczej zmianie; naukowy pogląd na świat staje się coraz bardziej powszechny. Nie mniej filozofia tradycyjna żyje nadal. Trudność przewyższenia jej wynika m. in. z właściwości tej filozofii: formalnego zawikłania i formalizmu, jakim odznacza się filozofia burżuazyjna szczególnie od Russella. Dlatego książka Cornfortha, która doskonale obnaża istotę tej filozofii, zarówno po względem jej treści jak społecznej funkcji, jest bardzo pomocna do pokonania tych trudności. Po przeczytaniu książki Cornfortha wie się, jak patrzeć na dawne i „nowe” udozwojenia filozofii mieszczańskiej, umie się odróżnić w nich to, co pozytywne od tego, co negatywne, wie się co brać z niej jako postępowe, a co odrzucać jako reakcyjne, uświa-

damia się sobie wyraźnie na czym polega jej reakcyjność i klasowość, a co najważniejsze wynosi się przekonanie o słuszności naukowego pojmowania świata.

Doniosłe znaczenie ma książka Cornfortha dla studiujących nauki filozoficzne. W walce o postępową treść nauczania filozofii na wyższych uczelniach, w walce o postęp filozofii akademickiej można i trzeba sięgać do tej książki po argumenty, w jakie obfituje, można i trzeba uczyć się formy krytyki, jaka jest w niej zastosowana.

Zadaniem naukowo materialistycznej filozofii jest wyjaśnienie podstaw nauki i jej społecznego, wyznajającego znaczenia. Pełne zwycięstwo tej filozofii oznacza pełne zwycięstwo nauki, nauka oznacza podporządkowanie przyrody społeczeństwu, postęp ludzkości ku wspólnemu panowaniu nad nią, ku socjalizmowi.

Dzieło Cornfortha sprawdza i w pewnej mierze rozwija filozofię naukową, dlatego można o nim powiedzieć, iż jest dziełem w sprawie postępu.

*) Część I patrz nr. 22.

**) Maurice Cornforth: Nauka przeciw idealizmowi. Rozważania nad „czystym empiryzmem” i logiką nowoczesną. Książka i Wiedza 1949. Patrz Nr. 22 Tyg. „Wiśń”.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK
PARTYZANCI BUDUJĄ POKÓJ

KSIĄŻKA A. S. Kowpaka „Od Putywła do Karpat”^(*) jest obszerną relacją — reportażem z działania jednej z największych radzieckich grup partyzanckich, której dowódcą był sam autor. Kowpak nie zamierzał pisać powieści czy jakiegos innego artystycznego utworu prozaicznego; opowiada on tylko w porządku chronologicznym o bitwach i potyczkach stoczonych z Niemcami, sukcesach i niepowodzeniach swego oddziału, o przeprowadzanej akcji ideologicznej. Język, jakim się posługuje autor, jest częstokroć językiem wojskowych komunikatów frontowych. Książka sprawia wrażenie szkicu polowego z dokładnym opisem partyzanckich walk i potyczek. Ale Kowpak nie wytrzymuje narzuconej sobie konwencji języka komunikatu wojennego, jego ideowe, emocjonalne i ideowe stanowisko, dowódcy partyzanckiego każe mu przerywać raz po raz te tam, każe mu pisać językiem najsłabszego patosa, patosu walki ze zbrodniczym faszystycznym i hitlerowskim narodem w państwie socjalistycznym.

Autor opowiada o tej walce śpiąc się, używa skrótów tematycznych (przerzuca się od opisów faktów najbardziej zasadniczych do pozornie mniej ważnych spraw), chce opowiedzieć jak najwięcej. I rzeczywiście opowiedział dużo: informuje czytelnika polskiego o powszechności i ogromie ruchu partyzanckiego w okupowanej przez Niemców części ZSRR, pokazuje podłoże ideowe i społeczne tej walki.

Przez wszystkie rozdziały książki Kowpaka przebiega niepomohomana radość z możliwości walki z okupantem, radość z możliwości równorzędnej walki z faszystami. Z równorzędnej? Nie! Przeważają u niego ludzie z oddziałów Kowpaka, bo w porównaniu z Niemcami lub z popedzanymi do walki Węgrami — byli uzbrojeni w najpotężniejszą broń — świadomości walki dla ludu. Siła oddziału Kowpakowców leżała właśnie w ich ściślejszej łączności z ludem. Kołchoźnicy, mieszkańcy miast i miasteczek tłumnie ścigali do Kowpaka świadami krzywdy jakiejś doznali i przyszłości o którą mają walczyć: Kowpakowcy czuli się połączeni w jedną wielką rodzinę narodów ZSRR silniej niż kiedykolwiek dotychczas. Bezpośrednia pomoc ze stolicy państwa socjalistycznego — Moskwy, zarówno w uzbrojeniu jak i w literaturze marksistowskiej oraz prasie bolszewickiej, rozmowa Kowpaka ze Stalinem na Kremlu — wszystko to cementowało akcję ideowo-strategiczną partyzantki białoruskiej, rosyjskiej i ukraińskiej. Kowpak lecał samolotem ze Starej Huty do Moskwy na konferencję ze Stalinem pisze: — „Prawdopodobnie tej nocy nie tylko nasz samolot leciał z zajętych przez Niemców terenów do Moskwy... Leciał może i z Białorusi i gdzieś z Połesia, i ze Smoleńszczyzny, i spod Nowogrodu, Pskowa i Starej Rusy. Choćby pociąg ziemię radziecką na tysiąc milych cząstek, Moskwa, jak magnes przeciąga je do siebie i spoi w jedną nierozrwalną całość”.

Wojskowa akcja dywersyjna „Kołpakowców” łączyła się ściśle z walką ideową. Obok strat zadawanych Niemcom w wyposażeniu, w pociągach z bronią, benzyną i amunicją, w rezerwach ludzkich, partyzanci uderzali okupanta akcją organizowania przeciw nim świadomości ludu radzieckiego. Już sama akcja niszczylińska wzmacniała radziecką partyzancję poczucie siły i słuszności walki prowadzonej przez całe społeczeństwo radzieckie, ale organizowane przez grupę Kowpaka zebrania ludności poświęcone sytuacji na froncie, defilady, akademie ku czci

Revolucji Październikowej wzmacniały i potęgowały świadomość słuszności tej walki. Z chwilą, gdy wojska sowieckie przeszły do ataku pod Stalingradem oddziały Kowpaka stanowiły drugi front, odciągający niejedną nieprzyjacielską pułk czy nawet dywizję z „regularnego” frontu. To poczucie wielkości powierzonych zadań miało dla „Kołpakowców” ogromne znaczenie, uważali się oni bowiem (gdz tak rzeczywiście było!) za część Armii Czerwonej, za przedstawicieli władzy radzieckiej. Autor książki „Od Putywła do Karpat” stwierdza wyraźnie, że to poczucie reprezentowania organów władzy Sowietów wzmacniało dyscyplinę w jego oddziale.

Spontaniczny niekiedy napływ do partyzantki pozwolił na stworzenie ogromnego, jak na warunki okupacyjne, oddziału, w którym są już i bataliony, i baterie artyleryjskie. Kowpak rozpoczynał walkę z okupantem w 1941 roku pisał: „Okolo 22 września, gdy ogłoszono skład osobowy oddziału, liczył on około czterdziestu osób”. Już wtedy jednak mógł przewidywać, że ruch partyzancki urośnie do ogromnych rozmiarów, bo stworzyła go miłość do pracy dla Kraju Rad. Gdy cały dorobek rewolucji stanął przed możliwością zniszczenia go przez okupanta, „my spokojni radzieccy ludzie, od razu staliśmy się żołnierzami” — pisze Kowpak.

Kołpakowcy — ludzie, którzy przyszli ze szkół, fabryk, kołchozów, żołnierze z rozbitych oddziałów, w partyzancie zajęli aktywne stanowisko w stosunku do rzeczywistości okupacyjnej. Aktywności tych ludzi wywołana była ich socjalistycznym nastawieniem do człowieka i jego pracy. „Wielu z nas przebywając wówczas w ziemiankach, w ciszy lesnej, zastanawiało się nad tym, czego nie zdołali dokonać przed wojną, co konieczne trzeba będzie po jej zakończeniu wykonać w ich rejonach, miastach, kołchozach czy szkołach”.

Czytając książkę Kowpaka dzisiaj, musimy zdać sobie sprawę z jej pokojowego oddziaływania na czytelnika. Pokojowa polityka ZSRR jest wolą ludzi takich, jakich przedstawia nam w swych partyzanckich wspomnieniach A. S. Kowpak. Ludzie ci to robotnicy, kołchoźnicy, radni miejscy, marzący o pięknym parku dla swego miasta, dyrektory szkół — wychowujący pokolenie epoki socjalizmu, ludzie, którzy już wtedy stanęli w obronie pokoju.

Olgierd Jędrzejczyk

*) A. S. Kowpak: „Od Putywła do Karpat”. Wydawnictwo „Prasa Wojskowa”, str. 170 + 2 nłb.

W NUMERZE 22 (253)

TYGODNIKA „WSI”

z dnia 4 czerwca br.

Józef Bieniek — Rozmowa na drodze. Seweryn Skulski — Plan trójki. Piotr Wyrobek — Idę złożyć podpis mój. Eleonora Dalin — Słuchaj Ameryko! Stanisław Cieślak — Najcenniejszy kapitał. Jan M. Gigos — Sztukator. Stanisław Tazbir — Rola książki w ofensywie kulturalnej. Edmund Nizurski — „Traktory” Zalewskiego — sygnały przemocy. Paweł Tarkowski — O odnowie wiedzy o literaturze. Tadeusz Gonera — Nowe siły społeczne, nowe kadry. Flora Bienkowska — Rubikon. Arkadiusz Kuleszow — Słowo do Narodów Zjednoczonych. Jerzy Piórkowski — Litywa rewolucji (II). Jan Morawatek — Dzieci wiejskie o pokoju. Jerzy Korycki — Plantator Filip Sempek. Hanna Kirchner — „Pogadanka z przezrociami”. Zbigniew Chyliński — Krytyka idealizmu. Stanisław Mędeński — Powieść o kapitalistycznym cyrku. Piotr Chmura — Od świetlicy do spółdzielni. Fakty i zdania. 16 ilustracji.

ZOFIA SZPROKOFF

GRECJA WALCZY

AKCJA powieści Kedrosa^(*) toczy się latem 1939 roku w Atenach. Aby móc w pełni ocenić osiągnięcia książki Kedrosa, musimy uprzytomnić sobie, jaka sytuacja istniała ówczesnie w Grecji. Oficjalnie Grecja jest monarchią, lecz faktycznie władzę sprawuje dyktatura, za którą kryje się właściwa siła panująca — kapitał i faszizm. Prawem jest bezwzględny wysiłek i terror. Falanga „szarych eminenencji”, burżuazjni „reprezentanci narodu” żerują na nędzy robotnika. W tych warunkach rozwija się, mimo bezwzględnych prześladowań, ruch robotniczy. Partia komunistyczna, zdławiona przez faszystowską dyktaturę, działa w podziemiu. Rośnie świadomość robotnika, a wmagający się wysiłek i uciśk polityczny otwiera oczy i budzi nienawiść do kapitalizmu.

Niewielka rozmiarami powieść daje nam uderzająco pełny zarys tych czasów, prawdziwy i sugestywny obraz walczących ze sobą w ustroju kapitalistycznym klas; w sposób treściwy i skondensowany ukazuje węzłowe punkty rozpatrywanych zagadnień. Na pierwszy plan wysuwa się klasa robotnicza i jej przedstawiciele.

Wasył Stamat, Johannes, to komuniści świadomi mocy swej klasy, jej roli w dziejach ludzkości, przedstawiciele tych wszystkich, którzy są deportowani i więzieni przez „Asfalię”. Postać Wasyła jest kwintesencją woli i świadomości proletariackiej, a przeciwieństwo nie patetyczny „bohater”, nie jakaś postać niezwykła, ale jeden z wielu. Autor świadomie nie obdarza ani Wasyła, ani jego towarzyszy cechami nadludzkimi — to ludzie żywi, pełni. Jakże tragiczna, ale tragiczna po ludzku jest postać Johannes, który w noc śmierci żony organizuje strajk.

W epizodzie tym najpełniej ukazana jest hierarchia zagadnień i nieugięta wola bojowników rewolucji. Zarówno w tym czynnie, jak i w wytrwałym milczeniu Stamatiego, który mimo tortur zadawanych w więzieniu, nie zalamuje się i nie wydaje tórnawyszy.

Kedros ukazuje również ludzi, którzy widząc uciśk i wysiłek kapitalizmu, nie zdają sobie w pełni sprawy z konieczności walki. To inżynier i sprawa jego statku, któ-

ry buduje w mieście. Inżynier jest idealistą „przez duże I” — jak mówi Wasył. Nie dostrzega on faktu, że jego spółdzielnia robotników, którzy sami, bez zapłaty budują swój statek, aby potem sprawili, że podzielić się zyskami — jest utopią. Jak utopia jest myśl przejścia do socjalizmu przez łagodną, powolną ewolucję. Inżynier z zapalem przekonywuje Wasyła, że dopuszczenie robotnika do udziału w zyskach przedsiębiorstwa, to najpewniejsza droga do bezkrawowego załamania nieporozumień klasowych, zażegnania groźby kryzysu i rewolucji, przynajmniej jednocześnie przedsiębiorcom znaczące oszczędności. Jest głęboko przekonany, że przedsiębiorcy kapitaliści zrozumią logikę jego wywodów i podejmą myśl z entuzjazmem. Przy tym wszystkim nazywa siebie z przekonaniem komunistą, a spółdzielnię kołchozem! Robotnicy, których zgromadził przy sobie, są tego samego zdania. Oni zresztą — w przeciwieństwie do Wasyła czy Johannes, widzą w budowie statku tylko nadzieję poprawy bytu. Zwycięza jednak słuszna, prawdziwie komunistyczna postawa Wasyła. Inżynier jest taktowny, się oko w oko z istotą ustroju, z którym chce walczyć za pomocą utopijnych pomysłów — przeciwstawia mu się stanowczo. Odrzuca „proponując” armatorów zaprzestania budowy statku i wreszcie zaczyna rozumieć, dlaczego Wasył uznał jego działalność za mrzonkę.

Kedros wyraziście ukazał, jak nawet w pewnych warunkach utopia służy rzeczywistości. Sprawa budowy własnego statku, obrona tej sprawy przed zainteresowanymi w jej obaleniu armatorami, policją, przedsiębiorcami, staje się czynnością, która pobudza i skupia energię robotnika, otwiera mu oczy na bezwzględność terroru kapitalistycznego. Jest — mówiąc słowami autora — katalizatorem, który pogłębia rewolucyjną postawę robotnika, przyspiesza bieg wydarzeń.

Jakże ostro odcinają się od postaci robotników-rewolucjonistów niektóre postacie inteligentów, wiążących się z ruchem socjalistycznym. Szczególnie ciekawa jest sylwetka Aspazji. Pracę w partii traktuje ona jako narkotyk, ma-

jący zagłuszyć żal po nieudanej miłości. Aspazja pracuje z oddaniem i cieszy się zaufaniem Wasyła, który na ostatnich kartach powieści, w chwili aresztowania, powierza jej swoją pracę w partii. Ale praca ta była dla niej zawsze terenem patetycznego „działania”. Widać to w sposobie, przy pomocy którego zdobywa dla swych przekonań Manosa. Mówiąc Manosowi o własnych przeżyciach podkreśla, że nigdy nie myśli o osobistym interesie i że towarzyszyli byli zawsze z niej zadowoleni. Te słowa jak i to, że odkrywa przed Manosem „urok konspiracji”, „urok aktów męstwa”, niezwykłość starć z policją, powoduje, że w jej opowiadaniach ruch robotniczy wygląda jak tajemniczy, sensacyjny wątek awanturniczej powieści.

W Manosie, typowym mieszczańskim, tkwi ta potrzeba uniezwyklenia życia, nadania mu „wyższości”, „bohaterskiego sensu”. W zewnętrzną z rzeczywistością, w momencie, gdy zostaje pobity przez sabotażystów, chcących zniszczyć statek inżyniera, budzi się w nim przede wszystkim chęć zemsty. Zemsty wyjątkowej osobistej. Nie jest zdolny wyjść poza tę myśl. Jest wstrętem odrzuca propozycję dalszej pracy w partii, czynioną przez Aspazję. Ma dość, bo wciągnięto go, jak mówi, w zasadzkę, gdzie jego godność została deptana, bo na cios w zęby nie mógł odpowiedzieć tym samym. Skończyło się z „idealnym”, „bohaterskim” ruchem robotniczym — trzeba znaleźć nowy sposób „wyższenia się”.

Są inni, którym niepotrzebne jest już bawienie się w idee. To zarówno poeta Miltos, jak i cała rządząca klika. Dla tych ludzi istnieje jedno — utrzymanie się przy władzy, która jest synonimem pełnego koryta. Nie odgrywa tu roli to, że Miltos tylko patrzy na rozgrywane się przed jego oczyma świętwa, nie działa. Bierny wstręt do brudnych machinacji to tylko „uczucie estetyczne”. W gruncie rzeczy ciągnie z nich tak samo zysk jak i reszta osób, zebranych na prywatnej rozmowie w ministerstwie propagandy. Klika rządząca to „sprzysiężenie”, którą wzywa na jaką postawić kartę, aby utrzymać swoje stanowisko. Jedno jest pewne: trzeba się zwrócić

przeciwko komunizmowi. W saloonach wykwintnej burżuazji należy do dobrego tonu mówić o bezsilności, śmieśności, szaleństwie komunizmu. Ale w gabinecie ministerstwa propagandy wie się dobrze, kto jest siłą, z którą trzeba przede wszystkim walczyć. Na to zgadza się jednomyślnie i monarchista Kapańis i zwolennik dyktatury Marinopolis i nieukrywający niechęci do rządów totalistycznych Miltos. W krótkim obrazie narad w ministerstwie propagandy Kedros doskonale przedstawił zgodność interesów „sprzecznych” partii burżuazyjnych, ich klasową jedność i wspólnotę celów. Ten cel łączy wytwornych panów z ministerstwa z właścicielem fabryki papierosów Jeorjadisem, który na żądania podniesienia płacy reaguje udanym zdziwieniem i odrzuca wszelkie propozycje pertraktacji, choć będąc „uczelnym” człowiekiem przyznaje w duszy, że płaca robotników nie starcza im nawet na życie.

I jeszcze jedna kategoria — ludzie żyjących z nędzy robotnika i koniunktury chwili. To korzeni Panayotakis i armator Manolis. Wojna trwa, ale dla nich, — jak stwierdza otwarcie Manolis — jest wspaniałym interesem. Ale i ci niebojący się wojny, boją się „plebsu”. Ten lek przed nim we wszystkich warstwach, to jeden z dowodów jego siły.

Książka Kedrosa jest utworem cennym. Wnikliwie i prawdziwie ukazała ważny etap walki klasowej w Grecji ostatnich chwil przedwojennych, rozwój i zwycięską drogę idei komunistycznej. W sposób niezwykle skondensowany, często w paru zdaniach, w jednej rozmowie, odkrywa Kedros prawdziwe oblicze świata kapitalistycznego, nie tylko fabrykantów, ale i tych wszystkich, którzy z tego systemu żyją.

I jeszcze jedno: jest to powieść optymistyczna. Mimo, że Wasył i inżynier zostają aresztowani, zło wroga cisza, która odpowiada na strzały skierowane do tłumu strajkujących, jest wyrazem utajonej w tym milczeniu nienawiści, siły, pewności zwycięstwa.

Zofia Szprokoff

*) Andreas Kedros, Statek w mieście, „Czytelnik” 1949.

